EPOKA

ROK III. Warszawa, 7 czerwca 1936 r. NR. 1 (66)

Treść numeru:

ODRODZONY POSTERUNEK

Po zamknięciu Epoki w grudniu 1933 roku, nie wątpiłem, że pismo nasze będzie w niedalekiej przyszłości wznowione. Zadania bowiem, które stawialiśmy sobie wówczas, nie przestały być żywotne. Przeciwnie, obraz społecznej i politycznej rzeczywistości dzisiejszej umacnia nas w przekonaniu, że obraliśmy drogę słuszną i że nasz posterunek publicystyczny odpowiada w chwili obecnej potrzebom ideowym najbardziej palącym.

Przyświecają nam te same cele.

Nie wkraczaliśmy i nie będziemy wkraczali na drogę łatwej demagogji, uprawianej przez różne polityczne kramy i kramiki. Zbyt szanujemy te umysły, które bardziej cenią idee niezależne, niż szablon i szyld, sąd samodzielny, niż narzuconą nieomylność. Nie będziemy zajmowali się wbijaniem ćwieków w bezkrytyczne głowy. Sądzimy, że dla duchowego zdrowia społeczności naszej pożyteczne są te posterunki, z których promieniować może myśl nieskrępowana nakazami dogmatu. Gdzież bowiem odbywaćby się mogła rzetelna rewizja pojęć zadawnionych i skostniałych? Gdzie — sumienna konfrontacja haseł, fikcyj i przywidzeń z nową rzeczywistością społeczną?

Publicystyka dzisiejsza przechodzi kryzys zaiste ponury: okres bankructwa myśli niezależnej, zaniku ambicji intelektualnej i zbrukania publicznego słowa. W przytłaczającej większości pism publicysta dzisiejszy może tylko wypełniać schematy. Nie gra, lecz kręci korbą grającej maszyny. Jest w położeniu muzyka, któremu kazano grać na instrumencie z szeregiem głuchych klawiszów. Stał się człowiekiem wynajętym do pisania i niepowołanym do myślenia. Ma swobodę szczególną: wolność słowa bez wolności myśli. Niech sobie pisze, jak chce, byleby trzymał się zakreślonych granic i powtarzał podyktowane mu argumenty, djagnozy i recepty. W publicystyce dzisiejszej nie pisze człowiek niezależny i myślący, piszą firmy polityczne rękami swoich wyrobników.

W tych warunkach istnienie placówki publicystycznej zgoła innej, niewyrobniczej, niezależnej, niezaprzęgniętej przez nikogo do narzuconego kieratu, nie może być pozbawione uzdrawiającego znaczenia.

Takie również znaczenie przypisujemy uporczywej, niczem niezrażonej „donkiszoterji": nieustępliwej wierności dla zasad humanitarnych — w czasach, kiedy zasady te traktowane są z wyniosłym sceptycyzmem, brutalnem lekceważeniem, lub zimną nikczemnością. Jeżeli obrona elementarnych praw

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena egzemplarza gr. 60

człowieka i obywatela ma nosić wzgardliwą nazwę „czułostkowości", będziemy nadal „sentymentalni", pozostawiając wszechświatowemu chamstwu tytuł „trzeźwości" i „realizmu". Jeżeli walka o sprawiedliwość społeczną ma należeć do przeżytków, będziemy nadal „konserwatywni" w zestawieniu ze wszystkiemi „wyzwolonemi" hordami cywilizowanego świata.

Współczesne społeczno-polityczne prowizorjum nie będzie trwało zbyt długo, chociaż nieprzytomność polityczna odnieść może niejeden jeszcze tryumf. Nadmiar zła i niedorzeczności rozsadza ramy obecnego ustroju. A z błędnego koła sprzeczności dzisiejszych nie będzie wyjścia na drogach żadnego oszustwa, któremi jeszcze mami się i oszałamia bezkrytyczne masy. Nie pomogą żadne dywersje polityczne.

Wypatrujemy nowego porządku społecznego, usuwamy zapory przemianom nadchodzącym, zrywamy hamulce psychiczne, które tkwią w myślach, sądach i uczuciach.

W chwili obecnej pewne prądy, tu i ówdzie narazie zwycięskie, awansowane są do rzędu „tendencyj dziejowych", którym nic przeciwstawić nie można, jako dyktowanym przez t. zw. konieczności historyczne. Na umysłach osiadła mgła fatalizmu. Polityczne bezeceństwa dzisiejsze mają być wyrazem procesu dziejowego, nowych, obowiązujących i zwycięskich idei, które zniweczą wszystko, co im wrogie. Stąd wniosek: poczucie rzeczywistości nakazuje liczyć się z tem, co nieuchronne. Owocem tego fatalizmu jest bierność, rezygnująca ze wszystkiego, co nie zgadza się z potęgą „dziejowych przeznaczeń". I tak popada się w polityczny mistycyzm, niszczący posterunki obrony praw ludzkich. Tu bowiem droga do kompromisu, odstępstwa, a często i upodlenia otwarta: zrzucamy balast przekonań, przekreślamy nasze credo, zrzekamy się naszych ideałów i zapisujemy się w poczet wykonawców „woli dziejowej".

Z argumentami „konieczności dziejowych", rozprawić się musi myśl uczciwa i wybiegająca w przyszłość, ta, która nie da się zastraszyć i unicestwić przez „pędzące koła historji". Nie przypisując dzisiejszym reakcjom politycznym i falom barbarzyństwa cech wiecznotrwałości, może zachować swą pełną żywotność i aktywność, żywotność protestu i aktywność w przygotowaniach do likwidacji przemijających szaleństw i zbrodni.

Różni magowie i szarlatani polityczni przystosowują się do chwilowej konjunktury i tę swoją szarlatanerję proklamują, jako mądrość polityczną, która „liczy się z rzeczywistością".

Nadchodzą jednak czasy wielkich rozstrzygnięć. W chwili obecnej mobilizują się ciemne żywioły, zachęcone tymczasowem zwycięstwem w tych krajach, gdzie niepodzielnie zapanowały despotyzm i terror, gdzie rozbudzono instynkty najniższe, oszukano masy i obrażono człowieczeństwo samo. Do takiej mobilizacji przygotowują się i u nas organizatorzy społecznego wyzysku, gromadząc już siły ku bezwzględnej rozprawie z zadatkami nowego życia. W tym celu odwraca się uwagę mas ludowych od rzeczywistych powodów nędzy i bezrobocia. Groźba pomsty za wyzysk, za upośledzenie, za krańce niedoli, ma być wyładowana w sposób nieszkodliwy dla interesów klasy pasorzytującej. Gorycz ludu ma być skierowana na drogi nienawiści rasowej, narodowościowej i wyznaniowej. Na tych drogach otumanione tłumy, z grupkami młodzieży na czele, mają we krwi swoich ofiar utopić własne prawa ludzkie i stworzyć państwo niewolników.

Publicyści, którzy będą zabierali głos na łamach E p o k i, łączą się do walki z tem niebezpieczeństwem.

Pismo nasze miało wielu przyjaciół, dla których zamknięcie E p o k i było rzeczą bolesną. Nie wątpimy, że na posterunku odrodzonym znajdziemy najżywsze poparcie ze strony wszystkich, którzy, podzielając nasze przekonania, nie rezygnują z dążeń do wielkiej odmiany zbiorowego życia.

Józef Wasowski.

NACJONALIŚCI WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZĄ SIĘ

Przyzwyczajeni jesteśmy do tego hasła, z innym jednakowoż rzeczownikiem na czele. Zwykliśmy widywać takie wezwania do robotników i chłopów na tytułowej stronie pism socjalistycznych i komunistycznych, a więc „międzynarodowych". Znane nam są międzynarodówki polityczno-społeczne, wyznaniowe, znane nam są organizacje ekonomiczno-kulturalne, przekraczające szereg granic, ale pojęcie międzynarodówki nacjonalistycznej nie zostało jeszcze określone ani zdemaskowane z należytą i zasłużoną plastyką. Pora więc to uczynić, tembardziej, że waga problemu jest znaczna.

Obracamy się bardzo często wśród szablonów, które kompletnie utraciły rację bytu, a mimo to nie chcą się usunąć, nie chcą zwolnić zajętego miejsca, odsłonić istotnego horyzontu i sytuacji. Uparte szablony zaśmiecają umysły, utrudniają pochód w przyszłość. Takim szablonem — i to jednym z najpotężniejszych i najbardziej w obecnej sytuacji szkodliwych — jest frazes o tem, jakoby polityka zagraniczna nie miała związku z polityką wewnętrzną, że innemi słowy państwa i społeczeństwa o rozmaitych ustrojach i tendencjach wewnętrznych mogą współdziałać ze sobą bez względu na swoją wewnętrzną zawartość.

Przesąd ten jest zabytkiem z czasów polityki gabinetowej, o której decydowali monarchowie i ich wybitni pomocnicy, zupełnie dowolnie posuwając ludami i państwami na swojej szachownicy. Polityka zagraniczna i jej narzędzie — dyplomacja — są w myśl tego archaistycznego ujęcia jakąś wyniosłą, pańską, indywidualistyczną grą, jakimś specjalnie emocjonującym sportem, dostępnym tylko dla nielicznych. Nasi utalentowani, choć dosyć ekscentryczni koledzy po piórze z „Buntu Młodych" zdają się być tego zdania, które reprezentują z przekornym wdziękiem i niezaprzeczoną erudycją i inteligencją.

W dzisiejszych czasach szablon ten stracił kompletnie rację bytu. Szybkość komunikacji i informacji, liczebność i siła związków ekonomicznych i du-

chowych czynią ze świata jeden wielki organizm, w którym krążą te same siły, soki i prądy. Otworzyły się naoścież gabinety dyplomatów i wrzawa uliczna wkroczyła do wnętrza najbardziej dyktatorskich przybytków. Polityka zagraniczna z wyniosłej i arystokratycznej stała się demokratyczną, ekonomiczną, musi się liczyć z opinją masy, stara się na nią wpływać, ale i naodwrót zmuszona jest jej ulegać.

W takich warunkach i wielkie prądy ideowe i polityczne przestają być własnością i monopolem jednego kraju. Na idee niema cła, a kontrabanda na tem polu jest niesłychanie łatwa. Socjalizm jest oddawna ruchem o formacie światowym, komunizm stał się nim, a faszyzm zdobywa sobie również tego rodzaju powszechność. Możnaby użyć zwrotu, że wielkie wynalazki polityczne, bez względu na swoją użyteczność czy szkodliwość, są lotne i zaraźliwe. Szerzą się po całym świecie, zbliżają do siebie umysły, nawiązując między niemi coraz to mocniejsze nici sympatji.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że hitleryzm wywodzi się od faszyzmu. Mniej znanym jest fakt, że obie te siły, które zapanowały w dwu wielkich krajach, współdziałają ze sobą ustawicznie, zarówno świadomie, jak nieświadomie. Dynamizm nacjonalistycznych dyktatur każe szukać nazewnątrz rozwiązania wewnętrznych trudności. I dlatego droga prawa międzynarodowego jest dla niego zbyt ciasna, musi gwałcić traktaty, zapierać się swojego podpisu, szukać ofiar i zdobyczy. Mimowoli tworzy się front kreatur dzikich, głodnych, żądnych krwi i łupu przeciw frontowi tych, którzy pragną równowagi, spokojnego rozwoju w ramach określonych przez prawa międzynarodowe.

Napad na Abisynję pozwolił Hitlerowi obsadzić militarnie Nadrenję. Gwałt Mussoliniego utorował drogę gwałtowi Hitlera. Berlin rozluźnił sieć potępienia i sankcyj zwróconą przeciw Rzymowi. Zastosowanie sankcyj w stosunku do dwu potężnych państw jest rzeczą niemożliwą. Na tem tle solidarność ideowa, instynktowna i faktyczna dwu dyktatur staje się czemś kompletnie zrozumiałem i oczywistem.

Również na przykładzie Francji widać wyraźnie, jak ściśle polityka zagraniczna związana jest z wewnętrzną. Możnaby powiedzieć, używając określeń uproszczonych, a temsamem niezawsze uwzględniających bardziej skomplikowaną treść wewnętrzną, że mamy we Francji obóz włoski, obóz niemiecki, obóz angielski, obóz sowiecki. Społeczeństwo francuskie szuka wyjścia z zagmatwanej sytuacji światowej i musi się oglądać za sprzymierzeńcami. Szukanie ich i znajdywanie podyktowane jest w znacznej mierze orjentacją wewnętrzną, sympatjami dla danych ustrojów państwowych. A więc nacjonaliści francuscy sympatyzują z pokrewnymi sobie Hitlerem i Mussolinim. Żywioły demokratyczne dążą do kooperacji ścisłej z Anglją, a im dalej posuwać się będziemy na lewo, tem mocniej akcentuje się wartość sojuszu francusko-sowieckiego. Stare orjentacje, dawne frazesy idą w kąt. Faszyści francuscy, którzy w swoim czasie nie chcieli słyszeć o Niemczech republikańskich, płaszczą się dziś przed Hitlerem. Dawni wypróbowani pacyfiści marzą o nawróceniu choćby gwałtem obu europejskich dyktatorów na wiarę Ligi Narodów i poszanowania traktatów.

Ten objaw ciążenia ku sobie pokrewnych ideologji poprzez granice, nieraz nawet wbrew oczywistym interesom własnym, występuje na każdym punkcie globu. Faszyści bułgarscy ciążą do Włoch. To samo czynią faszyści austrjaccy, gdy ich hitlerowscy ziomkowie słuchają ślepo rozkazów odbieranych z Berlina. Lewica hiszpańska sympatyzuje z francuską, faszyzm hiszpański z Mussolinim i t. d.

To samo dzieje się w Polsce, w kraju, w którym import ideowy z zagranicy jest i późniejszy i przyjmuje się w formie mniej konsekwentnej, mniej logicznej, mniej skrystalizowanej. Zwolennicy mniej lub bardziej pronounsowanej dyktatury ongi powoływali się, bez większego uzasadnienia zresztą, na to że są uczniami Mussoliniego, a dziś kłaniają się głęboko Hitlerowi. Są to jednak ludzie nieprzyzwyczajeni do używania własnej głowy jako organu myśli, możnaby im więc wybaczyć wiele niekonsekwencyj, z tym jednak warunkiem, aby nie próbowali nam narzucać ich realizacji.

Gorzej, że ten sam zarzut postawić się musi grupie i starszej i bardziej doświadczonej i znacznie bardziej myślowo wyrobionej. Podstawą narodowo-demokratycznej polityki zagranicznej była przyjaźń z Francją i głęboka nieufność wobec Niemiec. Słabe Niemcy republikańskie były z ich strony przedmiotem ustawicznych podejrzeń, a sojusz z Francją niewzruszonym zdawałoby się dogmatem. A jednak doszedł do władzy Hitler, groźniejszy dla Polski od stu Ebertów i Scheidemannów, ale ten sam Hitler realizuje drogi endeckim sercom antysemityzm. I cóż widzimy?

Któż, jeśli nie endecy powinni krzyczeć na alarm z powodu przejścia polityki polskiej z toru francuskiego na niemiecki? A jednak nasza prawica w tej dla bytu państwowego decydującej kwestji zachowuje się dziwnie powściągliwie i wyrozumiale. Za cenę brody żydowskiej, za cenę mocnego kursu wobec „burzycieli ładu i porządku" gotowa przełknąć Hitlera wraz z jego zwróconym na Wschód imperjalizmem. Antysemityzm może być w danej chwili ważniejszy od Gdańska, Gdyni i Śląska, a namiętność i nienawiść tryumfują nad zdrowym rozsądkiem. Negacje nacjonalistyczne przyciągają się, choć w zasadzie wykluczają się wzajemnie.

I w tem tkwi istotny charakter i niebezpieczeństwo chwilowego międzynarodowego współdziałania nacjonalizmów. Wielkie międzynarodowe ruchy społeczne i kulturalne zbliżają do siebie człowieka na wszystkich terenach życia, próbują organizować życie społeczne w ramach świata.

Nacjonalizmy są jak dzikie zwierzęta. Domeną ich działania są łowy, grabież, walki, przelew krwi. Nie budują pomostów, zrywają wszelkie mosty. Dążą do pogłębienia granic, różnic i antagonizmów wbrew postępowi kultury, wiedzy i techniki, zmierzającemu we wręcz przeciwnym kierunku. Solidarność nacjonalizmów ma charakter wyłącznie negatywny. Wychodzą wspólnie na łów, aby pozbyć się wroga. A potem rzucą się na siebie aby partnerowi wydrzeć jego część.

Zarówno poszczególne nacjonalizmy jak ich współdziałanie stanowią niebezpieczeństwo, które musi spotkać się z odporem. Szerzenie i rozwijanie solidarności istotnej, pozytywnej jest jedynym środkiem zaradczym, jest najważniejszym postulatem momentu dziejowego, który przeżywamy.

Włodzimierz Jampolski.

W OBRONIE POKOJU

Nadzieje trwałego pokoju zawiodły sromotnie, gdy oparto je na autorytecie Ligi Narodów, w tym właśnie celu powołanej po ostatniej rzezi światowej do życia. Autorytet ten był złudzeniem. Realna międzynarodówka wielkiego kapitału okazała się silniejszą od fikcyjnej międzynarodówki genewskich dyplomatów.

Mimo to świadomość straszliwej perspektywy, jaką otwiera wojna lotniczo-chemiczna — po świeżym przykładzie z Abisynją — istnieje i grozą swą pobudza ludzi uczciwych i przytomnych do uderzenia w dzwon alarmowy, wzywający ludy Europy do organizowania bez straty czasu takiej atmosfery, w której żądza wzniecenia pożaru światowego zostałaby sparaliżowana.

Inicjatywa tej akcji ratunkowej wyszła z krajów najwyższej kultury społecznej, z Francji i Anglji, i wyraziła się zwołaniem Światowego Kongresu Pokoju, który odbędzie się we wrześniu w Londynie.

Głównym ośrodkiem organizacyjnym tej wielkiej manifestacji ludów, zjednoczonych we wspólnej nienawiści do wojny, jako klęski i hańby cywilizacji, jest Centrala Paryska Zrzeszenia Światowego *(Centre Parisien pour le Rassemblement Universel,* 6 rue de la Paix Paris). Komitety narodowe powstały już w Londynie, Brukseli, Pradze, Genewie, Madrycie i w Indjach.

Do tych komitetów Inicjatywy Światowego Kongresu Pokoju, weszło wiele znakomitych osobistości spośród mężów stanu, uczonych, pisarzy, działaczy społecznych tych krajów, które przez swych reprezentantów przystąpiły do wspólnej akcji na rzecz utrzymania pokoju.

Nie będziemy tutaj podawali tej długiej listy. Zaznaczymy tylko, że nie brak w niej i osób piastujących najwyższe stanowiska w swej ojczyźnie — prezydentów Czechosłowacji i Hiszpanji. Znajdziemy tu obok dostojnika kościoła, arcybiskupa Yorcku, polityków tej miary, co Edouard Herriot, Lord Cecil, Camille Huysmans, burmistrz Antwerpji, Salvador de Madariaga, wybitny przedstawiciel Hiszpanji w Lidze Narodów; grono uczonych uświetniają takie nazwiska, jak prof. prof. Langevin, Rivet, Th. Ruyssen, Noel Philip Baker, z angielskiej Labour Party, którą tu reprezentuje jeszcze jej leader parlamentarny, Major Attlee; wśród światowej sławy pisarzy Karol Capek i Henrich Mann sąsiadują z Rabindranath Tagore; Stany Zjednoczone przemawiają za współpracą narodów na rzecz pokoju ustami Rogera Baldwina, prezesa Ligi Praw Człowieka, w enuncjacji podkreślającej, że dla pozyskania współpracy Ameryki musi być opracowany program poza Ligą Narodów.

To logiczne zastrzeżenie, wypływające z faktu nienależenia Stanów Zjednoczonych do instytucji genewskiej, pokrywa się, sądzimy, z wewnętrznem przekonaniem olbrzymiej większości inicjatorów Światowego Kongresu Pokoju, należących do narodów — członków L. N. Bezsilność jej w sprawie ukarania napastnika, wynikająca z upartej ślepoty egoizmów narodowych, dostatecznie usprawiedliwia brak zaufania do Ligi, jako organizatorki bezpieczeństwa zbiorowego.

Gorzkie doświadczenie z napadniętą Abisynją dało szczerym bojownikom pokoju jeszcze inną, najważniejszą może nauczkę: konieczności przeniesienia punktu ciężkości akcji pacyfistycznej. Pokój należy organizować nie *od góry, lecz od dołu.* Świat pracy nie może już polegać na gadaninie dyplomatów, musi sam wyrazić swoją wolę walki z wojną; przytem wysiłki te będą zawsze akcją w próżni, gdy pominą źródło zaborczych tendencyj dzisiejszego świata: faszyzm. A — jak słusznie mówi jeden z czołowych młodych pisarzy Hiszpanji, Cesar M. Arconada — „walka z faszyzmem nigdy nie będzie skuteczna, jeżeli nie rozwinie się w oparciu o świadomy proletarjat".

Wśród licznych odezw, listów z akcesem, enuncjacyj na rzecz zwołania Światowego Kongresu Pokoju, publikowanych w wydawnictwach Centrali Paryskiej, objętych wspólnym tytułem „Le monde entier pour la paix", na szczególną też uwagę zasługują te, które podkreślają rolę świata pracy w organizacji pokoju powszechnego.

Zacytujemy tu głos Leona Jouhaux, generalnego sekretarza C. G. T. (Generalna Konfederacja Pracy) ogłoszony w broszurze zbiorowej „Rassemblement universel pour la Paix" p. t. „Le mouvement ouvrier veut la paix".

„Ruch robotniczy chce pokoju namiętnie, nietylko dlatego, że świat pracy najbardziej cierpi przez wojnę i jej następstwa, lecz, że organizacja pokoju światowego zgodnie z jego ideałem, jest jednem z jego zadań dziejowych, i że wie dobrze, iż wojna byłaby ruiną jego nadziei.

Z bezpośrednich interesów klasy robotniczej, z jej nadziei emancypacji, wypływa jej wola pracy na rzecz pokoju i wolności.

Dla urzeczywistnienia tego zadania, ruch robotniczy winien znaleźć się w samem ognisku akcji pacyfistycznej.

Przeszkodzić wojnie jest to wielkie zadanie, jedyne, od którego można oczekiwać ochrony dla ludzkości.

Organizacja pokoju nie jest już odległą chimerą: będzie można wznieść zaporę przeciw wszystkim wojnom, przez stworzenie koalicji narodów pokojowych przeciw wszystkim żądnym wojny.

Dla tego szlachetnego celu wszelka przedsięwzięta akcja może liczyć na czynne siły świata pracy".

Jesteśmy narodem pokojowym. Nie pożądamy cudzego. Czyż może zabraknąć Polski na londyńskim kongresie? Twórzmy Polski Komitet Inicjatywy. Działajmy wspólnie z tymi, którzy pragną okiełznać złowrogich Czterech Jeźdźców Apokalipsy, gotujących się do runięcia znowu na świat. Zjednoczona wola mas ludowych Europy może temu zapobiec!

Wacław Rogowicz.

IDEA WOLNOŚCI

Liberalizm odstawiono na boczny tor. Jedni mówią, że pójdzie do reparacji, inni — że na szmelc. Snuje on tu swe medytacje sposobem dialektycznym, wedle schematu: teza, antyteza, wreszcie synteza. Jako indywidualista, niechętny jest wprawdzie szablonom, lecz, będąc skądinąd notorycznie racjonalnym i empirycznym, rad korzysta z wypróbowanego przez socjalizm rozsądnego wzorca. Czy historja toczy się stale podobnym trybem, tego nie przesądza bynajmniej, wątpieniu raczej poddając koncepcję zbyt uproszczoną; że jednak kolejność dialektyczna będzie na miejscu w dialektyce właśnie, czyli w roztrząsaniach, to dlań dostatecznie jasne. Akceptuje więc następstwo faz namysłu, małą jedynie wprowadzając zmianę. Zaczyna mianowicie od negatywnej antytezy, potem zaś przechodzi do pozytywnej tezy, syntezę, oczywiście, kończąc. Czyż to bowiem nie naturalne, że ten i ów, zawieszony w czynnościach, docieka przedewszystkiem, czemu właściwie odstawiono jego osobę na boczny tor?

Grzechy wolności.

Opaczne stosowanie idei.

Trójca „wolności, równości i braterstwa" nie widnieje dziś na popularnych transparentach. Nikt nie idzie z tym okrzykiem na barykady. Nikt za ten właśnie kanon nie siedzi w więzieniu. T. zw. „Duch — wieczny rewolucjonista" ma swoje mody. W dziedzinie pustej zabawy grano epidemicznie w „yo-yo". Teraz nikt nie gra. Podobnie bywa z prądami w dziedzinach poważnego życia. Nowy dreszcz wypiera poprzednie wstrząsy. Hasło dyktatury proletarjatu, hasło faszyzmu panują nad umysłami młodej inteligencji. Tamte nie tylko jednak wyliniały, jak futro letnie zwierza linieje przed nastaniem zimowych chłodów, by ustąpić miejsca uwłosieniu bardziej zwartemu, lecz dokuczyły, niczem narowne wierzchowce. Zdyskredytowały się skutkiem opacznego stosowania. Przecież w imię równości bogacz i biedak płacą tyleż jednostek pieniężnych za dowiedzione wykroczenie, choć dla pierwszego tysiąc złotych jest niczem, dla drugiego — ogromem. I tyleż muszą składać kaucji za wypuszczenie na wolną stopę. Więc bogacz złoży ją i ucieknie sleepingiem, a biedakowi nie pozostanie nic innego, jak tylko czekać sądu na więziennej pryczy. Braterstwo nieraz służyło do tego, by osłabiać gniew wyzyskiwanych bez poważniejszych koncesyj ze strony wyzyskujących. Z wolnością bywało podobnie. Dość ma się już wszelkiego liberum veto i wszelkiego „wolnoć Tomku w swoim domku". Zbyt już jawnie korzystano z wolności najmu i umów wogóle, by płacić byle co, żądać pracy ile wlezie, wyrzucać na bruk po wyssaniu sił, zrzeszać się w trusty i łupić z konsumenta ostatni grosz. Wolność gryzła się zresztą z równością częstokroć, niby dwie złe suki, zaprzężone do wspólnych sani, ile że równość najłatwiej się osiąga przemocą, wolności przeciwną, a wolność, prowadząc do jednako niby swobodnego startu, daje nierówność w wynikach tego startu, w sytuacjach końcowych. Na degrengoladę wolności złożyły się nadużycia jej posiadaczy i błędy w dedukcjach z tej prostej abstrakcji na użytek zawiłej konkretności.

Negatywny charakter wolności.

Ale nie one tylko zawiniły. Głębsza przyczyna tkwi w samem jądrze tego ideału, zawierającem pierwiastki negatywności, względności i niepraktyczności. Swobody potrzebuje ten tylko, kto skrępowany, rwać kajdany — to dobry cel... dla niewolników, a obrazy działań obronnych mniej porywają płomienną wyobraźnię, niż wizje czynów zdobywczych. Moc, bycie górą, pełnia życia, dosyt nienasyconych pożądań—to pociąga nadewszystko: rozkwit życia narodowego, potęga mocarstwa, chwała ojczyzny, socjalistyczne budownictwo, tworzenie nowego ładu, nowego wspaniałego świata — to są formuły pozytywne, sugerujące perspektywy rosnącego w nieskończoność przepychu. Ten rodzaj opium zawiera w swym składzie substancję wolności, lecz jako składnik stłumiony i drugorzędny. Wolność została poprostu przelicytowana. Nie szuka się leków, bo się ma w sperandzie eliksir wiecznej młodości. Z samą wolnością co począć? Przypuśćmy, że ktoś już się jej dochrapał. Coż mu pozostaje nadal do roboty? Czy tylko pilnować, by znowu nie stracić wolności? Narzuca się tutaj analogja z majątkiem, a przecież byłby skarcony przez rozumnych, ktoby naczelnie dążył do miljonów, po to tylko conajwyżej, by sobie ich potem nie pozwolić odebrać. Więc mają rację Niemcy, twierdząc, że ideał swobody od czegoś (Freiheit von etwas) musi być uzupełniony przez koncepcję swobody ku czemuś (Freiheit zu etwas), inaczej, że potrzebna jest wolność tylko jako swoboda od przeszkód w dążeniu do czegoś pozatem.

Nieuchronna relatywizacja.

Dalej, gdy możliwe jest np. pod każdym względem zdrowie, niemożliwa jest wolność pod każdym względem. To też zawsze, ilekroć woła się o nią, część okrzyku, dopowiedziana lub utajona, zawiera relatywizację. Dawniej wołano: „Precz z tyranią", mając dość rodzimej przemocy politycznej, dziś jest raczej zapotrzebowanie na samowładców, którzyby wiedli gromady ludzkie ku różnym wyzwoleniom: proletarjat — z opresji posiadaczy, naród — z więzów obcej niewoli. A jak bardzo swoboda pod jednym jakimś względem kłócić się może z wolnością w innej dziedzinie, o tem poucza dobitnie jaskrawy przykład. Oto katechizm swobód obywatelskich, deklaracja praw człowieka z r. 1793-go, wyliczając, do czego każdy ma prawo, zastrzega, iż nikt nie ma prawa sprzedać swojej swobody. W ten sposób owa konstytucja, chcąc zapewnić człekowi swobodę rozporządzania sobą w przyszłości, ogranicza jego swobodę rozporządzania sobą w danej chwili. Okazuje się bowiem, że wolność nieograniczona i pod każdym względem prowadziłaby prostą drogą do absurdu i do samounicestwienia. Ba! Przecie i ta jej miara, która została w deklaracji nietknięta, nosi w sobie zarodki takich następstw, skoro ten sam właśnie artykuł XVIII-ty zezwala obywatelowi sprzedawać swój czas i swe usługi. Nie upłynęło od owej chwili sto lat, a rozpętała się burza robotniczego protestu przeciwko więzom, powstałym z takiej swobody. Idea wolności jest więc nie tylko negatywna i względna, lecz nadto zagrożona sprzecznością i nieuchronnie w rozpędzie swym ograniczona.

Antynomje tolerancji.

Sprzeczność, absurd, niekonsekwencja — różne te nazwy oznaczają słabość tę samą. Gdybyż to była tylko wada dowodu lub wykładu! Nie, dysharmonje tego rodzaju odbijają się na energji czynu, znamionując zawodność idei, jako kierowniczki działań, zdradzając jej niepraktyczność. Oto najzłośliwszy rodzaj bakteryj, toczących ideę wolności. Jakkolwiek bowiem ograniczać jej zasiąg, zawsze w końcu tego będzie się domagała, by tym a tym osobom zezwalano robić co im się podoba w tych a tych granicach dowolności. A więc niech sobie kapryszą nawet i dziwaczą, niechaj się zachowują źle, niechaj obstają przy błędach, jeśli tak się im właśnie podoba. Jest to już fatalnością wolności, że można jej udzielać tylko albo za dużo, albo za mało. Dawać swobodę — to dawać możność niedobrego jej używania. To też dla niejednego złe użycie wolności jest dopiero rzetelnym dowodem tego, że ją posiadł naprawdę. Wtedy wiem, powiada Jaś do Stasia, że mam forsę, kiedy ją mogę puścić bez sensu. Liberał znosi tortury, jeżeli będąc przekonanym zwolennikiem pisowni uproszczonej, bez ż i rz, bez ó i u, bez h i ch, słyszy dokoła swobodną propagandę tradycjonalizmu; ale nie zamknie stronie przeciwnej ust, choćby miał władzę po temu, gdyż liczyć się będzie z dziwną osobliwością wolności. Bo tem się ona odznacza, że w zakreślonych przez się granicach dobru i złu udziela praw jednakich. Jej zwolennicy zakładają, że w wolnych zapasach to, co należyte, ostatecznie zwycięży lub że przynajmniej zwycięstwo nierozumu w sferze pozostawionej swobody nie dotknie celów, do których się dąży pozatem. Lecz wolność — to wszak tolerancja, a tolerancja dla dążeń, przeciwnych naszemu, równa się dopomaganiu tym przeciwnym dążeniom. Czy można się zdobyć na większą niekonsekwencję czynu, na większą niepraktyczność? Można... Jeżeli się postawi kropkę nad „i" i z zasady tolerancji wysnuje dyrektywę tolerowania działań, przeciw samej tolerancji zwróconych. A przecie i takie działania cierpieć musi w pewnym dozwolonym zakresie zwolennik swobody. Nic dziwnego, że liberalizm, ten ulubiony styl życiowy postępowej inteligencji, uchodzi za jedno ze źródeł bezwładu klerków. Obok wysubtelnienia, supremacji powściągów nad popędami, sceptycyzmu, oglądaczy obu stron wszelkich medali, i ów program wolnościowy przez konsekwencje najrdzenniejszej swej treści przyczynił się do paraliżu intelektualistów.

Rozproszenie wolnych monad.

Więc ludzie czynu odwracają się od niego. I dorzucają do listy oskarżeń następującą jeszcze inwektywę. Inteligent, powiadają, ma skłonność do indywidualizmu. Ceni sobie nad miarę odrębność własnej osobowości, kultywuje ze specjalną pieczołowitością to, co w niej jest oryginalnego, lubi chodzić samopas, nie znosi postępowania wedle cudzych, nie wedle własnych przekonań. Atoli staje się jasne, że nadchodzą czasy działań zbiorowych, gdzie taki samoistnik mało do czego się przyda. Nawet by walczyć o prawa jednostki — trzeba się zbić w gromadę. Łatwiej się obejdziemy bez efektownych solistów, niż bez karnych grajków, umiejących wypadać z taktu w orkiestrze. A niech to będzie, dajmy na to, orkiestra dział i mitraljez! Na wojnie trzeba być pionem, trzeba słuchać, wykonywać cudzą wolę. Dla swobód indywidualnych tyle tylko miejsca zachochować można, ile pozostawia wykonawcom do wyboru rozkaz ogólnikowy. Ano jeszcze może tyle, że wolno sobie postawić wedle uznania bombę jasnego lub ciemnego piwa — jeżeli piwo jest — kiedy już odtrąbiono i nadeszła godzina spoczynku. Słuchajmy pilnie takich groźnych głosów i strzeżmy się lekceważenia zawartej w nich mądrości. Wojna nie tylko wywołała wstrząsy emocjonalne, lecz i nauczyła żyjących dzisiaj ludzi pewnych wyraźnych prawd socjotechnicznych. Byłoby błędem przypisywać surowość kombatanckich wskazań jedynie, a choćby nawet przedewszystkiem brutalności uczuć. Odbył się eksperyment na wielką skalę, odbył się w rzeczywistości, a powtarzany jest ustawicznie w myślach. Ruszyły przeciwko sobie gromady ludzkie, zagrożone wzajem jaknajpoważniej i zmuszone do stosowania form czynu jaknajskuteczniejszych. Postarano się o realizację tych form, rozumiejąc, że bardzo ważną jest rzeczą unikanie wojny, lecz jeszcze ważniejszą — niedopuszczenie do przegranej, skoro wojna już trwa. Ujawniły się w ten sposób w najwyższej skali napięcia, a przeto z maksymalną jaskrawością, warunki nie tylko boju orężnego, ale i powodzenia wszelkiej akcji zespołowej jako takiej, niezbędne, ilekroć praca się odbywa w okolicznościach jaknajbardziej utrudnionych. Radykałowie kolektywizmu wysnuwają z tego eksperymentu morał rygorystyczny: niema, powiadają, miejsca na żadne wolności w wielkiej maszynie zorganizowanego zespołu: kręć śrubkę według planu i nie pozwalaj sobie na mędrkowanie własnym rozumem. Jeśli to dziś nie jest jeszcze dla ciebie jasne, stanie się jasne jutro. Patrz, koncentrują się wszelkie gałęzie produkcji w wielkie wytwórnie centralne. Nawet pracownie naukowe i szkoły nabierają tego typu. Państwo obejmuje coraz więcej funkcyj i dziś już nikomu nie przychodzi do głowy podtrzymywać postulat liberałów klasycznych, którzy żądali, by nie mieszało się ono wcale do przemysłu ani wogóle do niczego, co się mieści w zakresie bezpośredniej troski o bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne. Wojsko, policja i sąd — tem miało się zajmować państwo i niczem więcej. W szczególności miało się nie wtrącać do podaży i popytu na pracę najemną. Myślano, że gdy będzie w przemyśle tak rozumiana wolność, wówczas sama konkurencja, jak w przyrodzie, doprowadzi do supremacji najlepszych pracowników i najlepszych wytworów, a na leniwych i nierozgarniętych przyjdzie kres, pożądany i zbawienny. Ale ta doktryna załamała się z kretesem. Od państwa dziś żąda się likwidacji bezrobocia, żąda się i dostarczenia i ochrony pracy. I nie tylko dlatego ani dlatego tylko, że wszystko ma znaczenie dla wojny, państwo wchłania wszystko, tu koleje, tam szkoły, owdzie ziemię etc. etc., lecz i dlatego też, że racjonalizacja działań rozrastającego się społeczeństwa, żyjącego w zmaganiach z innemi, prowadzi do centralizacji, jednolitego planu, standaryzacji wszystkich działań produkcyjnych. Samo już mistrzostwo, jako takie, zmusza do rezygnowania z ekstrawagancyj indywidualnych, polega bowiem na rzeczowości jak największej, na objektywnem przystosowaniu czynu do materjałów i zadań, i słusznie powiedział jeden ze znakomitych szachistów, twierdząc, że im większy mistrz, tem mniejsza jest jego swoboda. A cóż dopiero, gdy mowa

o całościach społecznych. Trafnie się stwierdza malejącą miarę swobody, jako charakterystykę postępu cywilizowania urządzeń: przecież nikt na wiejskich drogach polnych nie zabrania chodzić czy jeździć po tej czy tamtej stronie i przechodzić w poprzek gdzie się chce; ale pięknieby wyglądał nieuregulowany ruch uliczny w wielkiem mieście współczesnem. Zaiste, wolność—prawdziwy to ideał, jeśli cechą ideałów jest, że osiągnąć ich nie można... Ideał w zaniku, na skarleniu, albowiem jego postulaty są nieorganizacyjne, antyorganizacyjne, destrukcyjne i coraz mniej zgodne z warunkami pracy zbiorowej. Dążymy do pełni swobody, a nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jedynem jej urzeczywistnieniem byłaby zupełna samotność.

Nakoniec jeszcze jedno. Czy ludzkość nie doszła do wyrobienia w sobie cnót charakteru i różnych umiejętności przez borykanie się z przymusem, zwłaszcza z przymusem, wywieranym przez jednych ludzi na drugich? Czem to zastąpić?

Wdzięki wolności.

Bez niej przykro żyć.

W obliczu tak ciężkich oskarżeń czy można jeszcze dążyć do wolności? Czy może być liberałem ktoś, kto sobie to wszystko uświadomił? Odpowiedź brzmi, że właśnie ten tylko może być współczesnym z ducha miłośnikiem wolności, kto przy niej obstaje mimo tych wszystkich zarzutów. Kocha on wolność nie dlatego, by próżna była grzechu, lecz dlatego, że nieskończenie ponętna, a bez niej życie traci wszelki urok. Wystawmy sobie społeczność, zupełnie pozbawioną swobody. Co za koszmarny zwid! Ludzie nie przestali działać, lecz działają bez nieobliczalnych zainteresowań, jak automaty. Już nie maszyna jest przedłużeniem człowieka, tylko człowiek—sługą i naśladowcą maszyny. Wszystko dzieje się według przepisu, wszystko jest wykonaniem cudzego planu. Codzienny tryb zajęć w koszarach, żywot maszynowy robotnika przy taśmie automatycznej, wegetacja urzędników biurowych: maszynistek, kancelistów, referentów, dają lekki przedsmak takich rozkoszy. Ale to wszystko bądź tymczasowe, bądź ograniczone w czasie i dopuszcza luzy dla wolności. Przedewszystkiem jest wreszcie fajerant i wtedy każdemu wolno się odprężyć, wolno „robić, co mu się podoba". Wielbłąd cały dzień cierpiał pragnienie, lecz pod wieczór łyknie sobie parę haustów stęchłej wody. Do tej chwili uśmiecha mu się zaharowana dusza w godzinach udręki. Ta chwila nadaje życiu wartość. Ale niechby się ziściły marzenia pomylonych entuzjastów o przyszłem urządzeniu stosunków idealnie wydajnem. Szkoły potraktowane jako wytwórnie pracowników wyspecjalizowanych, podległe standaryzacji absolutnej. Wolność wykładania wedle przekonań, stosowanie metod indywidualnych, intuicyjnie uzasadnionych, poniechane i wzgardzone, że to niby przeżytki zapędów anarchicznych. Nauczyciel ograniczony ściśle do roli posłusznego wykonawcy szczegółów programu... Standaryzacja techniki prowadzi do tego, że człowiek staje się sługą automatu, standaryzacja nauczania ma za skutek, że człowiek sam staje się automatem. Nikt się nie odzywa z krytyką ani projektami w sprawach publicznych. Rzecz jasna: nie mogąc żyć prawdą, a nie chcąc żyć fałszem, trzeba żyć milczeniem. Nikt nie ma prawa niczego się domagać, o nic się upominać, bo wogóle nie ma żadnych praw, któreby mógł przeciwstawić rozkazom zwierzchności. Monady funkcjonują, jak dobrze nakręcone zegary. Próbowano raz urządzić społeczeństwo w ten sposób, coprawda z dość prymitywnego materjału zbudowane, w Paragwaju, za czasów teokracji jezuickiej. Stosunek do indywidualności poszczególnych ludzi określało wtedy porównanie dobitnie: pod względem inicjatywy własnej mieli oni być traktowani perinde ac cadavera*), narówni z umarłymi... Oto jest ostateczna treść takiej dążności: zanik osobowości za życia. Czy nie lepiej umrzeć przedtem, zanimby mogły nastać takie stosunki? Jeżeli wolność, pozostawiona własnemu rozpędowi, prowadzi do samozaprzeczenia, to równie absurdalne, równie sprzeczne w sobie byłyby takie tyrańskie kulminacje sprawności organizacyjnej, skoro samą tę sprawność cenimy o tyle, o ile służy jakiemuś wyzwoleniu. Ukochać jedną formę niewoli dlatego, by się wyzwolić od innej — to bądź co bądź wewnętrznie pozostać niewolnikiem.

Twórcy dzielniejsi od automatów.

Na szczęście jednak perspektywy tego rodzaju nie wydają się ani najpraktyczniejsze ani konieczne, ani możliwe. Maszerować noga w nogę nie jest bynajmniej tem samem, co iść ręka w rękę. Są bowiem rzeczy, które lepiej robią ludzie wolni, niż automaty. Nic nie jest tak solidną gwarancją, że sprawa będzie dobrze załatwiona, jak to, że spoczywa ona w ręku ludzi rozumnych, zamiłowanych, twórczych i mających swobodę działania. Przynajmniej wiele bywa takich spraw. Do nich należy myśl badawcza i konstrukcyjna i wychowawcze urabianie dusz. Czy podobna rozwiązywać zagadnienia wedle prawdy, jeśli się je rozwiązuje wedle rozkazu? W tych sprawach nieporządek może zabić twórczość, porządek absolutny zabija ją napewno. Wiadomo też zelantom etatyzmu, o ile bywa sprawniejszy tok gospodarki na swojem od politycznej administracji, sprawowanej za pośrednictwem zautomatyzowanych biurokratów. Paraliżowi inteligenckiego indywidualizmu odpowiada jako godne pendant ociężałość centralistycznej aparatury ludzkiej, poddanej detalicznym zabiegom kontrolnym i ograniczeniom ruchu. Kardynalna wada radykalnego centralizmu polega na tem, że jest on zawsze pozorny. Zresztą, szczyt jednolitości bynajmniej nie jest szczytem sprawności; nie jest on szczytem uzgodnienia. Prawda natomiast, że pozostawianie należytej swobody nawet najpodrzędniejszym członkom organizacji nie tylko ogranicza kierownictwo, lecz i ułatwia sprawowanie go w sposób najbardziej celowy. Wiele lasów wyrąbano i kanałów przekopano rękami więźniów lecz bohaterowie bili się zawsze lepiej, idąc w ogień za wolność, niż rekrut, wzięty do szeregów przemocą. W wolności najcenniejsza jest jej świadomość. Większe dzieła powstają z zapału niż ze strachu, a przecie zapał ma w sobie ducha świadomej wolności, lęk — tchnie zaduchem świadomej niewoli.

prof. Tadeusz Kotarbiński.

(dok. nast.)

*) Ten szczegół czerpiemy z pełnej zalet książki Emila Faguet, napisanej w r. 1902. Por. str. 268 przekładu polskiego (z franc.) Stefana Natansona p. t. „Liberalizm", Lwów.

O D G Ł O S Y

„ODRZUCIĆ PAŁKI"

W Nr. 10 Echa Społecznego ukazał się artykuł Ludmiły Wolskiej p. t. „Odrzucić pałki". Na wstępie autorka oświadcza:

„Łatwo się domyśleć, że pisać zamierzam o ekscesach antyżydowskich. Temat nieomal wstydliwy. Zwyrodniały nacjonalizm zdaje się tryumfować, zamykać usta nawet ludziom, dla których kultura w wysokiem znaczeniu tego słowa nie straciła wartości a szlachetność uczuć i postępowania oraz odwaga cywilna nie są frazesem. Codzienne prawie wiadomości o bójkach antysemickich wpłynęły na przytępienie wrażliwości na tym punkcie. Tak łatwo przywyka się do codzienności choćby najprzykrzejszej i przechodzi nad nią do porządku".

Za źródła wystąpień antysemickich L. Wolska uważa przedewszystkiem ciężkie warunki życia gospodarczego, następnie tradycję przesądów, oraz zaraźliwy przykład, idący zpoza granicy zachodniej. Nadto dodaje autorka, że struktura zawodowa „mniejszości żydowskiej, o której wyżej wspomniałam, jest momentem sprzyjającym dla podżegaczy. Można jeszcze dodać, że łatwość wywoływania nastawienia przeciwko żydom, prowadzącego do czynnego wyładowania nienawiści stanowi doskonałą pożywkę dla niektórych przegranych partyj politycznych, które pragnąc się odegrać, posługują się demagogją antysemicką."

Potępiając nienawiść narodowościową zarówno ze stanowiska etyki, jak i interesów państwa, p. Ludmiła Wolska pyta z goryczą:

„Dlaczego nikt nie pomyśli o akcji, którąby prowadziła do zmiany atmosfery, do wygaśnięcia tych ognisk zapalnych? Zarządzenia i represje władz, nie rozważając, czy są dostateczne, właściwe i skuteczne, nie mogą być jedyną reakcją, nie odpowiadają przedewszystkiem temu celowi, by zapobiec powtórzeniu się ekscesów."

KANAŁ ODPŁYWOWY

W Obliczu dnia zamieszczono rozmowę z Wincentym Rzymowskim o antysemityzmie. Przytaczamy parę urywków tej rozmowy:

— W chwili obecnej głównym czynnikiem antysemityzmu są motywy ekonomiczne: kapitał finansowy, ten istotny władca dzisiejszego świata, czując się niezdolny do zapewnienia wszystkim ludziom chleba i pracy, a chcąc bankructwo swe zamaskować, musiał znaleźć i otworzyć kanał, którymby spływała nienawiść zrodzona w masach przez bezrobocie, nędzę, głód i poniewierkę...

— A więc antysemityzm?

— Jest jednym z takich właśnie kanałów odpływowych dla nienawiści powszechnej, która inaczej uderzyłaby całym impetem w rzeczywistych sprawców nędzy.

— Jak Pan sądzi, czy określony odłam polityczny może celowo wszczynać dywersję antysemicką celem zatrucia opinji i odwrócenia energji szerokich mas od walki z istotnemi przyczynami, ich wspólnej, niezależnej od narodowości, niedoli?

— Oczywiście. I to dzieje się obecnie. Pozatem endecja ma szereg powodów do hodowania antysemityzmu. Jest to stronnictwo, którego dzieje od lat trzydziestu są jednem pasmem klęsk. Dla zilustrowania tego pasma wystarczy przytoczyć kilka przykładów... 1) Endecy budowali wszystko na trwałej i niespożytej potędze caratu — carat się zawalił. 2) Szli pod hasłem lojalności dla trzech zaborów, uwydatniając je zwłaszcza w przededniu wojny światowej, która właśnie miała kordony zaborcze pokonać i zburzyć. 3) Z uporem i namiętnością przeciwstawiali się ruchowi robotniczemu, a tymczasem robotnik stał się pierwszym żołnierzem w walce o niepodległość. A ich wodzowie, proszę pana, ich ideolodzy: gdzież laury tych wielkich mężów. Stawiali endecy na Dowbora — i kimże jest dzisiaj Dowbór? Modlili się do Hallera — któż dziś o Hallerze pamięta? Robiła endecja pakt z Witosem — i przyprawiła go o klęskę. Jakże ten długi szereg niepowodzeń wytłumaczyć? Jak usprawiedliwić ten stały deficyt? — Przyznać się do popełnionych błędów? — Nie, nie wolno. To podkopałoby „nieomylność" partji. Nie mogąc odsłonić źródeł klęski w sobie, endecja szuka ich poza sobą. Wciela je w urojone, a złośliwe siły, w uosobiony czynnik zła i przewrotności. Poprostu mówiąc: w djabła. Tym djabłem w zależności od konjunktury bywał: socjalista, mason, Niemiec, piłsudczyk. Najczęściej jednak bywał nim... Żyd.

— A teraz?

— Teraz — Żyd stał się w ideologji endeckiej centralną figurą świata, głównym środkiem pokrycia jej historycznego deficytu.

— Pan napisał, zdaje się, studjum o endecji? Z niezależnych od siebie przyczyn nie mogłem go przeczytać.

— Kilka lat temu napisałem broszurę „Roman Dmowski — czciciel djabła", gdzie dowodzę, że endecja, gdyby nie było Żyda, musiałaby go wymyśleć, bo musiała przecież pokazać w kimś winowajcę swych klęsk.

— Czy zdaniem pana zrealizowanie koncepcji całkowitego wyrugowania Żydów z kraju usunęłoby przyczyny kryzysu? Czy istotne przyczyny kryzysu wiążą się z obecnością Żydów w kraju?

— Oczywiście nie. Przyczyny kryzysu tkwią w ustroju społecznym. Antysemitom zaś naszym zresztą nie zależy na emigracji Żydów. Żyd jest im potrzebny, jako artykuł w codziennym handlu politycznym i społecznym.

— A więc stwierdza pan nieodzowność Żyda dla endecji.

— Żyd jest jej potrzebny do rozmaitych funkcyj i dlatego „Warszawski Dziennik Narodowy", który nie pisze nigdy ani słowa o ciężkiej doli robotnika, o prawach chłopa do obszarów rolnych, dzień w dzień poświęca artykuły wstępne Żydom, — spłacając w ten sposób dług (przez przemilczanie najważniejszych, prawdziwych, przyczyn tragedyj społecznych) burżuazji żydowskiej.

NIKCZEMNE METODY

Na odbyty we Lwowie Zjazd pracowników kultury krakowski Ilustr. Kurjer Codzienny zareagował po swojemu: po bandycku, w sposób oszczerczy i nikczemny. Zjazd lwowski to — zdaniem „I.K.C." — „ofensywa obcych agentów". Do „obcych agentów" należą, między innymi... Andrzej

Strug, Wincenty Rzymowski, Emil Zegadłowicz, Wanda Wasilewska, Leon Kruczkowski, Halina Krahelska, Kazimiera Muszałówna, Włodzimierz Jampolski...

We wszystkich organach naszej kołtunerji zaczyna się upowszechniać ten termin—„obcy agenci". Innemi słowy — zdrajcy, wrogowie, organizatorzy zamachu na niepodległość Polski. Tylko tyle! I coraz więcej świetnych nazwisk polskich wśród tych „agentów".

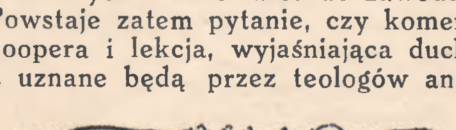
Przerażona kołtunerja nie przebiera w środkach walki, traci przytomność i ośmiesza się w opinji ludzi choć trochę rozsądnych. Wystąpienia takie, jak „I.K.C.", mogą budzić wiarę już tylko wśród żywiołów najciemniejszych, które dla tylu szmat dziennikarskich stają się rynkiem zbytu najwdzięczniejszym.

KOMENTARZ TEOLOGICZNY

We wrześniu r. b., odbyć się ma w Londynie Światowy Kongres Pokoju, w którym udział wezmą przedstawiciele wszystkich narodów, zatrwożonych postępami dzisiejszych zbrojeń wojennych na całej kuli ziemskiej. W pracach przygotowawczych do tego Kongresu, mającego przedewszystkiem olbrzymie znaczenie moralne, biorą wszędzie czynny udział najwybitniejsze osobistości ze świata nauki, pracy, literatury, sztuki, polityki, dyplomacji, religji itd. Do czynnej pracy w tym kierunku zgłosiło się wielu wybitnych mężów stanu, działaczy społecznych i wysokich dostojników kościołów chrześcijańskich.

I oto właśnie w chwili, kiedy aeropag wszystkich krajów zamierza, wskazując na złowieszcze widmo wojny, odwołać się do sumień, rozumów i uczuć ludzkich, głosząc wzniosłe słowa pokoju między narodami, angielski minister wojny Duff Cooper, w Birmingham wygłasza wielką mowę, która tylko może usprawiedliwić i podnieść wagę, słuszność i potrzebę Światowego Kongresu Pokoju.

Pomijając już to, że minister wojny zwrócił się ostro przeciw propagandzie pacyfistycznej, co z jego stanowiska jest zrozumiałe, to jednak rzeczą godną uwagi jest szczególne wezwanie, skierowane przez niego do wszystkich biskupów kościoła anglikańskiego. Duff Cooper zażądał od nich, iżby wobec powagi położenia zarzucili swoje dotychczasowe stanowisko pokojowe i żeby zrozumieli, iż Anglja dziś bardziej, niż kiedykolwiek w dziejach, wymaga żołnierskiego ducha, męstwa i poświęcenia. Ale najciekawsze jest to, że generał Cooper uważa się także za powołanego do narzucania własnej interpretacji teologicznej, bowiem oświadcza, iż prowadzenie wojny nie stoi w sprzeczności z nakazami chrześcijaństwa, zawartemi w piśmie świętem. Niepomni jednak tego przywódcy kościoła w Anglji, występują przeciw „tak zwanemu" militaryzmowi. Żąda więc dalej od duchowieństwa kościoła anglikańskiego, aby odtąd zamiast szerzenia idei pokoju, szerzyło wśród wiernych zamiłowanie do zawodu żołnierskiego. Powstaje zatem pytanie, czy komentarz generała Coopera i lekcja, wyjaśniająca ducha pisma świętego, uznane będą przez teologów angielskich.



RADJO

WIELKIE NIEPOROZUMIENIE

Bronisław Huberman będąc niedawno w Warszawie, w wywiadzie udzielonym współpracownikowi *Gazety Polskiej*, zdeklarował się, jako zdecydowany przeciwnik radja. Oświadczył, że radjo w Europie i w Ameryce obniżyło poziom muzyczny i wiele w tym względzie zepsuło. „Rozwój poziomu muzycznego w kraju, mówił znakomity skrzypek, więcej zależy od zasięgu mas grających, niż od liczby wirtuozów. Tacy genjusze, jak Szopen, czy Schubert powstali w środowiskach, gdzie była wielka kultura muzyczna. Radjo zabija samodzielne uprawianie muzyki, dlatego jestem wrogiem radja!"

Mamy tu do czynienia z widocznem nieporozumieniem.

Dopóki nie było radja, czerpać mogły ze skarbnicy kultury duchowej jedynie warstwy t. zw. posiadające, w dodatku zamieszkałe w miastach, lwia zaś część narodu była tej możności pozbawiona. Dawniej tylko określone towarzystwo z tak zwanego świata eleganckiego, mogło słuchać i podziwiać wielkich pianistów, skrzypków, śpiewaków itd., na koncertach i w operach, odbierać tam wruszenia estetyczne i kształcić swój zmysł artystyczny. Kultura więc muzyczna rozwijała się w ograniczonej sferze ludzi uprzywilejowanych, ale i tutaj jeszcze jest rzeczą wątpliwą, jak liczny ich odłam wyróżniał się istotnem znawstwem, rozumieniem i umiłowaniem muzyki, poszukując wzruszeń estetycznych z prawdziwej, nieodpartej, wewnętrznej potrzeby, jaki zaś biegł do kas po drogie bilety koncertowe i operowe tylko z pobudek próżności i snobizmu.

Dziś, zaś właśnie dzięki radju, którego wrogiem nie waha się mienić Huberman, miljonowe rzesze w mieście i na wsi uzyskały dostęp do przybytku Muz, i w olbrzymiej skali wciągnięte zostały w orbitę kultury estetycznej. W tym względzie przynajmniej przestały być częściowo wydziedziczone, założona w ten sposób została właśnie pierwsza podwalina dla kultury muzycznej i powstały pewne warunki dla klimatu artystycznego, który dopiero w przyszłości sprawić może, iż ogólny poziom muzyczny, o który właśnie Hubermanowi chodzi najwięcej, w społeczeństwie znacznie się podniesie.

Zresztą, czy Huberman, jako nieprzyjaciel radja, naprawdę może sądzić, że dla rozwoju kultury muzycznej jest bardziej celowe skazywać np. ludność jakiegoś zapadłego miasteczka na słuchanie orkiestry ochotniczej straży pożarnej, lub jakiejś kapeli spod ciemnej gwiazdy, czy też umożliwiać jej wszelkiemi sposobami odbieranie przez radio wspaniałych koncertów, wykonywanych przez artystów wysokiej klasy?

Czyż wobec tego, nie słuszniejby uczynił Huberman, gdyby zamiast udzielać takich wywiadów, obnażających zadawniony arystokratyzm ducha, stanął przed mikrofonem, aby wyczarować ze Stradivariusa swe cudowne tony dla miljonów szarych słuchaczy, którzy okażą się napewno wdzięczniejszymi czcicielami jego muzy, niż wielu melomanów, czcicieli mamony.

l.

WŚRÓD DUCHOWYCH PRZEWODNIKÓW

Gdy dziś, po latach, wypada na nowo zasiąść w redakcji pisma, ażeby pod chmurą życia nisko obecnie nawisłą, brać bezpośredni udział w walce o idee przebudowy świata, — mimowoli myśl wybiega w przeszłość, ku progom naszego stulecia i ku promiennym postaciom moich duchowych przewodników, którzy wciąż dotąd stanowią żywe wzory siły moralnej, wzniosłości, hartu i nieugiętości przekonań.

W głębi duszy każdego człowieka tkwią i pozostają na zawsze pewne obrazy szczególnych przeżyć, które nie bledną i nie szarzeją pomimo upływu wielu lat, tak samo, jak nie głuchną i nie przepadają pewne słowa i dźwięki, zasłyszane kiedyś w szczęśliwem dzieciństwie.

Przystępując teraz do pracy w „Epoce", podejmującej brzemię niemal takich samych zadań ideowych i obowiązków publicystycznych, jakie przed laty wspaniale usprawiedliwiły istnienie „Głosu",— poddaję się chętnie napływającym wspomnieniom młodości i chronię się w ich cieniu, jak piechur, który w skwarze południa zbacza z drogi, pełnej kurzawy, iżby wytchnąć przez chwilę nad gęsto zadrzewionym, orzeźwiającym strumieniem.

***

Gdy pewnego razu, przed laty trzydziestu zgórą, pani Jadwiga Szczawińska wprowadziła mnie do gabinetu pracy swego męża, zastałem J. Wł. Dawida rozmawiającego z dwoma Stanisławami: Przybyszewskim i Brzozowskim. Było to w okresie poprzedzającym bezpośrednio głośną kampanję „sienkiewiczowską", prowadzoną w tempie szarży kawaleryjskiej przez kohortę pisarzy sławnego „Głosu".

W tym pamiętnym dla mnie dniu przybyłem z ramienia oświatowych kół młodzieży rewolucyjnej w specjalnej misji do Jadwigi Szczawińskiej-Dawidowej. Przyjęła mnie oddzielnie w małym pokoju, przy redakcji. Pod działaniem czarującego obejścia Pani Jadwigi, harmonizującego zresztą z wdziękiem całej jej postaci, zwłaszcza z pogodnem, ujmującem spojrzeniem jej wielkich niebieskich oczu, ustępowały więzy zażenowania i męczącego onieśmielenia. Rozmowa, ściśle związana z poważną misją i mandatem osiemnastoletniego młodzieńca, — toczyła się coraz żywiej, swobodniej, a gdy dobiegała już kresu i trzeba było powziąć jakieś postanowienia, naraz oświadczyła pani Jadwiga, wskazując na sąsiedni pokój, że najlepiej będzie, jeśli wspólnie z tamtymi panami omówimy te wszystkie rzeczy. „Akurat właśnie przyjechał Brzozowski, co na tem się zna, jest również Przybyszewski, ale to nic nie szkodzi, bo to swój człowiek!" Spostrzegłszy w mojej postawie wahanie, i jakby cofnięcie się w siebie, oświadczyła porywczo i zachęcająco: „Śmiało, młodzieńcze! Głowa do góry! Nie lękać się! Nie przytłoczą swoją wielkością!" — i biorąc mnie pod ramię wprowadziła bezpośrednio do pokoju, gdzie trzech augurów i luminarzy, stojąc pod oknem, prowadziło jakąś rozmowę. „Oto nieśmiały przedstawiciel młodzieży, kolega Lukrec". — Brzozowski, widocznie niedosłyszawszy wyraźnie nazwiska, i zwracając się bezpośrednio już do mnie, zapytał z ożywieniem i uśmiechając się: „Przepraszam — Lukrecjusz? Piękne nazwisko! Powiew starożytności!", a gdym nieco stropiony zaczął tłumaczyć, że niestety nazwisko moje, nie kończy się na „jusz", lecz na „c" — przerwał mi naraz, wtrącając się do rozmowy Przybyszewski i zaczął wyjaśniać przekonywająco i serdecznie: „Owszem, ma kolega prawo do nieśmiertelności, a na upartego, nawet ma tytuł do podawania się za potomka sławnego poety, bo nie wiem, czy wiedzą państwo, że w dosłownem tłumaczeniu z niemieckiego Lukrec jest po polsku Lukrecjuszem". I odtąd, przez to zabawne nieporozumienie, czy też dobrotliwą złośliwość autora „Widm moich współczesnych" ochrzczony zostałem nazwiskiem poety rzymskiego, trzymany do tego chrztu przez panią Jadwigę i Brzozowskiego, w obecności dwóch świadków: Przybyszewskiego i Dawida. Zostałem tedy ostatecznie Lukrecjuszem i już nigdy inaczej mnie nie nazywano. Nawet w tak osobliwej chwili, niepozbawionej tragicznej wymowy w osiem, czy dziewięć lat potem, gdy pani Jadwiga, udając się w przeddzień śmierci w ostatnią swoją podróż, i jakby mając świadomość, że nigdy więcej się już nie zobaczymy, powiedziała mi na odjezdnem: nie jak zwykle, „dowidzenia", lecz: „żegnaj, kochany Lukrecjuszu!"

Gdy po kilku latach, powróciwszy ze studjów, stanąłem do stałej, codziennej pracy, bezpośrednio przy boku Dawida, miałem sposobność nie tylko podziwiać rozległość i wszechstronność jego wiedzy, jego olbrzymie zasoby energji mózgowo-nerwowej, ale także miałem możność poznawania go od wewnątrz i stwierdzenia ponad wszelką wątpliwość, wbrew pozorom, bogactwa jego uczuciowości i głębi duchowego życia.

J. Wł. Dawid, zewnętrznie wydawał się uosobieniem jakiejś drewnianej powagi, uwidoczniającej się zarówno w twarzy, w ruchach, w głosie, jak i w sposobie mówienia. Jego wyniosłe, białe czoło, panujące nad całem obliczem, rozjaśniało inne rysy twarzy, pofałdowane na policzkach, okolonych gęstym, ciemnym zarostem, przystrzyżonym spiczasto na brodzie. Oprócz czoła, uderzały w twarzy jego duże smutne oczy, przesłonięte mgłą wiecznej zadumy. Nigdy jednak, nawet wówczas, gdy już mieszkaliśmy razem i byliśmy nierozłączni, nie widziałem go naprawdę wesołym. Rzec można, iż Dawid właściwie śmiać się zupełnie nie umiał, choć nie był ponury. Możnaby nawet przypuszczać, że wprost fizycznie nie mógł złożyć ust do śmiechu, nawet w chwilach dobrego humoru, w który go wprawiać zresztą najlepiej potrafił dowcipny, ziadliwy i sarkastyczny Grzegorz Glass (Avanti), a także Janusz Korczak, strzelający paradoksami i szczerzący swoje zdrowe, piękne zęby.

J. Wł. Dawid, pionier pedagogiki doświadczalnej, twórca sławnej, uznanej dziś w świecie metody badania inteligencji, — był jednocześnie wyjątkowym psychologiem-redaktorem i pedagogiem-redaktorem. Posługując się zmysłem szczególnym, przenikania ludzi, umiał wydobywać z nich istotne wartości, wykrywać, rozwijać i zwracać w określonym kierunku ich uzdolnienia, wychowując sobie w ten

sposób odpowiednich współpracowników. Znawca i nieubłagany wróg głupoty ludzkiej w jej licznych i nieraz mocno zamaskowanych odmianach, przebierał dokładnie, jako redaktor „Głosu", wśród dziesiątków i setek adeptów do stanowisk pisarskich. Dopuszczał do pracy i znosił koło siebie tylko ludzi ideowych, piszących nie dla kaprysu, ani z pobudek snobizmu, lecz z wewnętrznej potrzeby i z powołania. Miał zwyczaj określać ludzi w sposób bardzo zwięzły, lapidarny, często sarkastyczny, ale przeważnie niezmiernie prawdziwy i trafny.

Spośród wielu wybitnych osobistości stale piszących w „Głosie", najbardziej Dawid cenił, stawiając za wzór, jako twórcę, naukowego pisarza, człowieka i bojownika idei — Wacława Nałkowskiego. Uderzało go zawsze wśród wielu prób i doświadczeń życiowych to rzadkie w Nałkowskim, całkowite połączenie wielkiego rozumienia i wielkiego odczuwania. Ten pięćdziesięcioletni wtedy, młodzieniec, według ironicznego odezwania się Niemojewskiego, dawniejszego również współpracownika „Głosu" — Wacław Nałkowski ujmował od pierwszego wejrzenia. Smukły był i prosty, jak trzcina, o dumnej głowie i regularnych rysach twarzy, bujnej, ciemnej czuprynie i gęstym zaroście, zaledwie przypruszonym siwizną. W obejściu jego nie było cienia pozy, lub sztucznej powagi, z usposobienia był raczej wesoły, w przeciwieństwie więc do Dawida, śmiał się swoim nieco zmatowanym głosem na całe gardło, z całej duszy, aż się zanosił. W rozmowach zapalał się bardzo łatwo — kipiał, zwłaszcza, gdy ich przedmiotem były przypadkiem osoby, które zwalczał gwałtownie, wyłącznie jednak dotyczyło to wsteczników, parwenjuszów, filistrów lub renegatów. Nałkowski uważany był przez nas wszystkich, narówni z Dawidem, za ostoję moralną i czułe sumienie walczącego pokolenia.

Poczatkowo o Stanisławie Brzozowskim Dawid wypowiadał się z pewną rezerwą, podnosił jednak niezmiernie wysoko jego niepospolity talent pisarski i miał pełny podziw dla jego wyjątkowej wytrwałości i zdolności roboczej. Obawiał się tylko jego nadmiernej wrażliwości, dochodzącej do egzaltacji, na punkcie wszystkiego co w danej chwili pochłaniał i zgłębiał. Dawid mawiał, że Brzozowski za często i za prędko otwiera i zamyka epoki swojego rozwoju. Ubolewał i cierpiał prawdziwie, będac bezsilnym i patrząc, jak nędza i gruźlica widocznie zżerały siły fizyczne Brzozowskiego.

Wszyscyśmy byli przekonani o niewinności Brzozowskiego w sprawie wynikłej z potwornego i nikczemnego oskarżenia Bakaja. Pani Jadwiga, która najlepiej znała warunki prywatnego życia Brzozowskiego, była najwiarogodniejszym, prawdziwie naocznym świadkiem jego skrajnego ubóstwa i ciężkiej, nadludzkiej pracy zarobkowej. Z najwyższem oburzeniem odpierała podejrzenia i miotała gromy na głowę skruszonego ochrannika. Każde jej słowo nabrzmiałe było bólem i buntem. Zarówno całe otoczenie Dawidów, jak i Nałkowskich pozostawało długo pod znakiem tragedji Brzozowskiego. Było dla nas jasne, że zręcznie i na zimno uknuty spisek ochrany przygotował cios śmiertelny, wymierzony w Brzozowskiego, tyleż w samo serce człowieka, co i w źródło siły niepospolitego pisarza, rewolucjonizującego umysły całej Młodej Polski.

W najwyższem podnieceniu oczekiwaliśmy wieści z Krakowa, dokąd na rozprawę sądową wyjechała w imieniu domu Nałkowskich i Dawidów, oraz z ramienia „Głosu" dzielna i wybijająca się już wtedy, bardzo młoda pisarka, Zofja Nałkowska.

W rok później, już po sądzie Krakowskim, J. Wł. Dawid, będąc sam na emigracji, raz jeszcze złożył dowód swoich przyjaznych uczuć dla Brzozowskiego, oraz przekonania o jego niewinności, odwiedziwszy we Florencji na schyłku dni, w męce pogrążonego autora „Głosów wśród nocy".

Ćwierć wieku minęło w tym roku od śmierci Wacława Nałkowskiego i Stanisława Brzozowskiego, tyleż dobiega od śmierci J. Wł. Dawida, ale zarówno ich osobiste, jak ideowe promieniowanie nie urwało się na krawędziach ich grobów.

Dorobek myślowy tych twórców pod działaniem czasu nie obrócił się w próchno, ich pisma naukowe, filozoficzne, literackie i publicystyczne nie spoczęły na półkach zacisznych bibljotek. Przeciwnie, treść ich, wybiegająca w przyszłość, staje się znów strawą duchową dla tych, co po nich przyszli, a ziarna ich wiedzy i ideałów padają dziś dopiero na grunt przygotowany, wolny częściowo od chwastów i cierni. Życie domaga się zbiorowych wydań ich pism, oni zaś sami, w postawie przewodników duchowych stają się moralnie obecni w ogniu walk o pełne i wszechstronne wyzwolenie człowieka.

Henryk Lukrec

TAJEMNICA ODWAGI CYWILNEJ

Zagadnienie odwagi cywilnej znalazło wyraz w naszej publicystyce. Dziennikarze i publicyści w najrozmaitszych pismach zajęli się ostatnio tą kwestją. Kiedy pewnego wieczoru wpadłam na pomysł potraktowania tego tematu w katowickim „Żywym dzienniku" (lokalna inicjatywa grupy naukowców, dziennikarzy i pedagogów), następnego ranka znalazłam artykuł p. t. „Virtuti civili" w „Robotniku", po paru zaś dniach czytałam o odwadze cywilnej w „Lewym Torze", artykuł dra Adama Próchnika. W „Żywym dzienniku" wysłuchałam feljetonu p. Woźniakowskiego, który zalecał „karkom ludzkim trzymać się góry, nie zaś dołu tułowia"; teraz znów, gdy piszę ten artykuł — mam przed sobą numer dwutygodnika pracowników umysłowych „Echo Społeczne", w którym znajduję znów świetny feljeton p. Józefa Czyścieckiego p. t. „Wyprostujmy karki!"... Nie umawialiśmy się żeby wprowadzić teraz — po sprawach amnestji — ten kolejny temat na szpalty naszej prasy! Jest to dla nas wszystkich niezmiernie pouczający fakt: bez porozumienia może się tak kształtować zgodny front opinji.

Tęsknota za zjawiskiem odwagi cywilnej jest dziś międzynarodowa; działają tu przecie wspólne przyczyny. Żyjemy w okresie wybujałych prób rządzenia za pomocą strachu, mniej lub więcej ostrych metod teroru, subjektywnie określanego niekiedy

jako „najłagodniejszy": tak określił przecie Berezę stary sybirak, pisarz i senator Wacław Sieroszewski!

Istnieją, zdaniem mojem, specjalne przyczyny, przyczyny historyczne, sprawiające, że w Polsce zachodzi tak bardzo pilna potrzeba mobilizowania w psychice ludzkiej elementów, współdziałających z powstaniem odwagi cywilnej. Trzeba sobie przypomnieć, że Polska w swej przeszłości była państwem dużej tolerancji, gdy idzie o swobodę przekonań. Mówiąc o odwadze cywilnej, należy ściśle określić, że rozumiemy przez to odwagę uzewnętrznienia własnych przekonań, bez względu na nieprzychylną dla nich atmosferę; opór, jaki budzą; konsekwencje, jakie mogą pociągnąć.

Zdawałoby się, że odwaga wogóle, jako cecha duszy ludzkiej, przyrodzona czy wychowana, jest czemś jednorodnem; że różne gatunki odwagi — odwaga żołnierska, bojowca, sportsmena i t. p. są tylko odgałęzieniami tej cechy, łączą się w niej i pokrywają z nią. A tymczasem tak nie jest. Są to wprawdzie wszystko zagadnienia dla psychologów, ale poruszam je tu, gdyż mają również wielkie znaczenie społeczne.

Nie jest łatwo rozwikłać aż do głębi sekret odwagi cywilnej. „Tchórzostwo", pisze dr. Próchnik w wspomnianym artykule „jest to słabość, która zostaje wewnątrz" („która hamuje i paraliżuje. Jakże trudno jest utrafić, gdzie znajduje się granica, której przekraczać już nie należy. Śmiałość przeradza się w lekkomyślne ryzykanctwo, ostrożność w tchórzostwo. To drugie niebezpieczeństwo jest znacznie groźniejsze. Śmiałość bowiem jest uczuciem wyjątkowem, tchórzostwo pospolitem. Przeciętny człowiek boi się".)

Postarajmy się przeanalizować zjawiska różnej odwagi oraz okoliczności jej powstania, żeby pojąć w jakim stosunku znajduje się to do odwagi cywilnej.

Od ludzi, którzy tworzyli w Polsce wychowanie fizyczne i potem przez dłuższy okres czasu poświęcali się pracy nad sportowem wychowaniem naszej młodzieży, słyszałam, że w wychowaniu tęgiego sportowca, sportowej odwagi — widzieli też środek i sposób wychowania w człowieku odwagi cywilnej. Od tych samych ludzi wiem, że ta rachuba naogół zawiodła. Zdawało się, że lot w niebo, przebijanie się przez spienione fale morskie, skok na nartach, wymagając ogromnego wyćwiczenia i napięcia odwagi — hodują, kultywują w młodych duszach pierwiastki odwagi wogóle, wszelkiej odwagi, odwagi cywilnej. Jakiegoż zawodu doznawali, przekonując się w miarę upływu lat i doświadczeń, że bardzo często ludzie, w sporcie bohatersko-odważni, okazywali się pozbawieni wszelkiej odwagi w życiu, na posadzie, wobec spraw związanych z t. zw. karjerą, z pracą społeczną i t. d. Okazywało się tedy, że wychowanie sportowej odwagi bynajmniej nie montuje odwagi cywilnej.

A inne rodzaje odwagi, więc odwaga żołnierska, odwaga na polu bitwy, w najcięższych przygodach wojny? To już jest rzeczą powszechnie znaną, że wnioskowanie o odwadze cywilnej człowieka na zasadzie odwagi jego na polu bitwy okazuje się bardzo często wysoce zawodne. Nieraz ludzie niebywałej odwagi pod kulami okazują się w obliczu życia codziennego i jego szarych a dotkliwych, dokuczliwych prób — słabi, bierni, niezwykle kompromisowi, oportunistyczni lub poprostu tchórzliwi. A więc — znów zacytuję z Próchnika — „ten sam człowiek, który w walce fizycznej zdobędzie się na brawurę i lekceważenie śmierci, w normalnych warunkach nie zdecyduje się na podpisanie zbiorowego protestu przeciw gwałtom popełnianym przez ludzi potężnych i nie odważy się nie stanąć do urny wyborczej, gdy rząd sobie tego życzy."

Zatem i ta szkoła odwagi, jaką może być wojna — w stosunku do odwagi cywilnej okazywać się może zawodną.

I to samo trzeba powiedzieć jeszcze o jednym gatunku odwagi, który, jak się zdaje, najbliższy jest odwadze cywilnej: to odwaga rewolucjonisty. Taki rodzaj odwagi wymaga już przecie wręcz odwagi przekonań, odwagi czynnego ich uzewnętrznienia, w atmosferze całkiem niesprzyjającej, w obliczu sprzeciwów, oporu, bez względu na oczekujące represje? Niewątpliwie — ze wszystkich wymienionych gatunków i rodzajów odwagi — odwaga rewolucjonisty powinna najbardziej hodować w duszy pierwiastki odwagi cywilnej. Niestety — w stosunku do naszej historycznej przeszłości rewolucyjnej nie da się to twierdzenie w całości utrzymać. Ludzie odważni w bojówce, dzielni w katordze, nieraz się już załamywali wobec konieczności zmobilizowania codziennej odwagi cywilnej, w perypetjach służby i t. zw. „karjery", jako posłowie, działacze, publicyści i t. d. I tu oczywiście nie mam na myśli ludzi, którzy szczerze zmienili przekonania, nie robiąc na tem majątku ani interesu. Znam wybitnego w przeszłości rewolucjonistę, który podług jego własnych słów doszedł do przekonania, że właściwie zawsze był konserwatystą. Jest inny, który odgrywał niemałą rolę w partji socjalistycznej, a po dwudziestupięciu latach uznał, że idea socjalizmu zawsze była mu obca. Trzeba się zdobyć na objektywizm i zgodzić się, że zaszła w niektórych wypadkach istotna zmiana poglądów. Cóż dziwnego, gdy do Polski od kilkunastu lat prądy reakcyjne społecznie i faszystowskie wdzierają się z tak potężną siłą!

Miałam na względzie nie tych, którzy przekonaniowo stali się już, powiedzmy, konserwatystami, reakcjonistami, faszystami (z dawnych socjalistów), — ale poprostu ludzi, którzy wyrzekli się swych przekonań przez tchórzostwo i dotąd jeszcze w cztery oczy, przy spotkaniach z dawnymi przyjaciółmi, wypłakują im „w kamizelki" swoją wewnętrzną — jakoby dziewiczą—wierność dawnym przekonaniom.

A więc i ten rodzaj odwagi, odwagi rewolucjonisty, niekoniecznie i niezawsze wyrabiał odwagę cywilną.

Z pewnością rację miał publicysta z „Robotnika", który twierdził, że odwaga na polu bitwy, w obliczu nieprzyjacielskiej szarży i t .p. miewa jednak charakter czynu świątecznego, chwili wyjątkowej; łatwiej się na to zdobyć, niż na codzienny montaż odwagi w dokuczliwych okolicznościach codziennej walki z życiem; z głodem; z widmem braku pracy; klęski całej rodziny i t. d. Owszem — żołnierz, i bojowiec lub nawet niekiedy konspirator-rewolucjonista **okresowo** muszą montować swą specjalną odwagę: codzienne życie może iść jakby drugim torem. Zbliżamy się więc do źródła, z jakiego powstaje odwaga cywilna. I rację ma znów dr. Próchnik, mówiąc, że: „Odwaga cywilna jako objaw indywidualny sprowadza się często do cierpiętnictwa. Taranem uderzającym w rzeczywistość jest

jest odwaga, która jak prąd elektryzuje całą gromadę ludzką... Nie wystarczy odwaga pioniera. Przeciętny człowiek musi się przestać bać."

Więc kwestja — masowości zjawiska? To jest rzecz istotna.

Wszak odwaga sportowca, odwaga żołnierza, przebiegają najczęściej w gromadzie, na oczach ludzkich, oczach towarzyszy, w zespole, nie w samotności. To jest czynnik ułatwiający montaż odwagi, każdej odwagi. Ale już rewolucjonista bardzo często w samotności, w odosobnieniu od swego ideowego zespołu musi budzić w sobie swą odwagę. To znów zbliża go bardziej do typu odwagi cywilnej, gdyż tu człowiek najczęściej okazuje się sam: ad hoc, często zaskoczony przez sytuację, musi sam jeden, w obliczu oporu, sprzeciwu, nieraz ciężkich konsekwencyj dla siebie lub bliskich, wzbudzić w sobie przejaw odwagi cywilnej, wystąpić, zaznaczyć swoje stanowisko.... Oczywiście, samotność jest czynnikiem niesłychanie utrudniającym akt odwagi wogóle i odwagi cywilnej. Niektórzy z rewolucjonistów prosili, by wyprowadzono ich na stracenie razem: nie bali się umierać pod okiem towarzyszy... Starsi rewolucjoniści zwracali się do młodych skazańców, by wspierali ich swoją obecnością w chwili wykonywania wyroku śmierci. W bardziej codziennych okolicznościach, naprzykład, w zatargach zbiorowych, konfliktach społecznych, konfliktach na terenie pracy najemnej zespołowość, masowość — odgrywają zawsze decydującą rolę w montażu odwagi cywilnej. Oczywiście, społecznie decydującą, naprawdę ważącą na szali dziejów jest tylko odwaga masowa, odwaga społeczeństwa.

Ale przecie — być odważnym wypada często samotnie. Jak wychować taką odwagę? Jak wychować odwagę w dzieciach? Zwracam to pytanie do wychowawców, do nauczycielstwa, abstrahując od jego rozproszenia, przygnębienia, dezorjentacji i t. d. Czy myślą o tem? Czy rozumieją już, że wychowując przyszłych obywateli państwa — przedewszystkiem powinni doceniać znaczenie odwagi cywilnej w życiu zbiorowem i kierować swe wysiłki ku jej wychowaniu?

Jest to naprawdę daleko ważniejsze, niż wypełnianie takich lub innych kawałków, obliczonych na efekt chwilowy. Zupełnie uznaję, że nauczycielstwo, w niesamowity sposób zawalone pracą zawodową w ciężkich warunkach i nadto jeszcze — swoistym przerostem pracy obywatelsko - społecznej o charakterze raczej przymusowym — nie ma pięknych warunków do medytacyj natury wychowawczej. Niemniej wszakże rzucam tę myśl, gdyż nawet dziś znajdą się wychowawcy, którzy będą nad tem myśleć.

Od siebie dorzucę tu już tylko jedną uwagę, zwróconą zresztą już nie do wychowawców, ale i do sprawujących rząd. Z metod wychowania winno się wyłączyć element zastraszania, — wszystko co obliczone jest na działanie strachu i wywołuje stan zalęknienia... Wprowadzając do wychowania moment teroru w każdej jego postaci — zabija się w dzieciach pierwiastek odwagi cywilnej, tak jak zabija się ją i głuszy w dorosłem społeczeństwie.

Polska wchodzi w okres decydujący o jej przyszłości: odwaga cywilna, nie odwaga jednostek, odwaga społeczeństwa, zbiorowości — staje się nakazem moralnym.

Halina Krahelska.

FILM

„DZISIEJSZE CZASY"

Wyświetlany od paru miesięcy film Chaplina „Dzisiejsze czasy" cieszy się wielkiem powodzeniem. Dużo tam epizodów znakomitych. Wielki aktor osiąga tu szczyt swojej maestrji. Jego partnerka budzi zachwyt grą wspaniałą.

Lecz źródło powodzenia tego filmu — nietylko w grze, zdjęciach i montażu. Rzecz ta wzrusza, daje ulgę moralną, budzi współczucie dla słabego, bezbronnego człowieka, osaczonego przez wszystkie złe potęgi dzisiejszego ustroju.

Człowiek bezbronny, dobry, głęboko szlachetny, niedbający o siebie, absolutnie bezinteresowny, pogodny i uśmiechnięty nawet w okolicznościach najgorszych, rzadko tylko popadający w chwilę smutku, z którego się rychło otrząsa, człowiek idący swoją drogą najprostszą i wciąż skądś odchodzący — w świat, przed siebie, po nieznaną dolę i niedolę, to bohater wszystkich filmów Charlie Chaplin. Znany, lubiany, budzący współczucie. Ukazuje się na ekranie, jak stary, najmilszy znajomy. Witany jest z najserdeczniejszą życzliwością.

W „Dzisiejszych czasach" Chaplin dał śmielsze akcenty społeczne, niż w filmach poprzednich. Znalazła tu wyraz tragedja bezrobocia, a przeciwieństwa klasowe zademonstrowano w sposób bardzo plastyczny i odważny. „Święte" prawo własności nie cieszy się w tym filmie czcią nadmierną, a sceny, w której to prawo jest naruszone, nie budzą sprzeciwu publiczności. Przeciwnie. Prawo człowieka głodnego silnie przemawia do sumień.

Niestety ideowa strona „Dzisiejszych czasów" jest w pewnym stopniu wypaczona. Szlachetny biedak jest w tym filmie nietylko człowiekiem bezbronnym. Zatarto tu granicę pomiędzy bezbronnością a... głuptactwem. W scenach niektórych człowiek ów jest tylko głuptakiem i szkodnikiem (np. bezwiedne zawalenie rusztowania w dokach i przedwczesne wypuszczenie statku na morze, czy — upicie się wespół z bandytami w magazynie, gdzie się jest dozorcą). Takiego głuptaka usuwanoby zewsząd w najidealniejszym nawet ustroju społecznym. Słabnie w ten sposób cały atak na niesprawiedliwość społeczną, słabnie obrona krzywdy ludzkiej. Bo niema krzywdy, jeśli się usuwa z warsztatu pracy nieobliczalnego szkodnika. Wydalenie takiego robotnika jest przecież uzasadnione. Stąd rzecz może niezamierzona: wzmocnienie pozycji strony atakowanej, t. j. przedsiębiorcy, kapitalisty i... policji. Stąd nawet wrażenie jakiegoś niemiłego kompromisu...

Znajdujemy też w tym filmie kompromis innego rodzaju, już całkiem wyraźny — z publicznością niewybredną: zbyt gęsto owe deski spadają na głowę Chaplina, zbyt dużo całkiem zbędnych „efektów" niewysokiego gatunku. Szkoda. Bo film w wielu scenach wywołuje wrażenie silne i głębokie.

Jeszcze słówko o publiczności. W chwilach najbardziej tragicznych, część publiczności śmieje się do rozpuku. Kiedy Charlie jest torturowany przez „maszynę do jedzenia" — publiczność bawi się doskonale. A scena to okropna. Przerażone oczy Chaplina nie psują niektórym widzom humoru. Tak sa-

mo w scenie, kiedy Charlie dostaje drgawek, wywołanych chorobową inercją ruchów, wykonywanych przy taśmie. To też bawi. Bawi ta scena obłędu.

Śmieją się tu ludzie tępi. Dużo jest takich, nieprzyjemnie dużo.

J. W.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

„ZAGADNIENIE TERAŹNIEJSZOŚCI"

Gdy czytelnik bierze dziś do ręki nową książkę, poświęconą zagadnieniom współczesnego życia, szuka przedewszystkiem odpowiedzi na wiele dręczących pytań, wynikających z chaosu przełomowej rzeczywistości. Mamy wprawdzie w tym przedmiocie dość bogatą literaturę, gruntownie roztrząsającą wszystkie zagadnienia, powstające na drodze rozpadu kapitalizmu, ale jestto literatura przeważnie przekładowa, popisująca się głośnemi nazwiskami myśli europejskiej.

Książka Wincentego Rzymowskiego, która świeżo się ukazała, wypełnia w pewnym stopniu tę lukę, jako praca oryginalna *).

„Prawo do życia", naświetlające również teraźniejszą rzeczywistość polską, jest rzeczą o szerokim zakroju publicystycznym i składa się z osiemnastu oddzielnych szkiców, ujętych w cztery rozdziały p. t.: I „Losy inteligencji", II „Na ślepym torze", III „Gdzie jest ojczyzna bezrobotnych", IV „Prawo do życia a powinność pracy".

*) Wincenty Rzymowski: **Prawo do życia a powinność pracy.** Warszawa 1936. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Autor, pozostając w wewnętrznej zgodzie ze sobą, zajmuje wobec dziejowych zjawisk współczesnych stanowisko zdecydowanie antykapitalistyczne i antyfaszystowskie.

Wincenty Rzymowski, jeden z najwybitniejszych publicystów polskich, posiada pełną samowiedzę swoich środków pisarskich, któremi włada swobodnie i używa jaknajbardziej celowo do stawiania i wyjaśniania zagadnień w sposób jasny i przejrzysty. Z każdego szkicu widać wyraźnie, że zasadnicze stanowisko autora jest głęboko umotywowane, a wypływa ono nie z przypadkowości, lecz ma oparcie w całem jego uczuciowem i rozumowem nastawieniu wobec treści przełomowej epoki współczesnej.

Posiłkując się swoim barwnym językiem, W. Rzymowski przetwarza tematy, skądinąd suche i prozaiczne, na obrazy rzeczywistości tętniące życiem i pełne polotu, w których motywy emocjonalne przewijają się poprzez argumentację logiczną i formalną, zwłaszcza, kiedy roztrząsa zagadnienia przemocy, faszyzmu, skandali dziejowych, bezrobocia, klęsk i nędz społecznych.

Książka Wincentego Rzymowskiego stanowi niewątpliwie próbę bezpośredniego oddziaływania na życie pod znakiem gruntownego jego przeobrażenia i w imię pełnego wyzwolenia człowieka pracy zarówno w sensie społecznym i gospodarczym, jak i duchowym. Jestto jednocześnie jakby osobiste credo autora, nabierające tem większego moralnego znaczenia, że ukazuje się w chwili, kiedy wypada się deklarować bądź po stronie żywiołów przyszłości, bądź przeciwnie, po stronie schyłkowych, pasorzytujących grup społecznych, które zagradzają dziś drogę pochodowi ludzkości.

St. Brew.

OD DZIECIŃSTWA DO MATURY

Cisza... Czy cisza może dzwonić? Dzwoni w przemęczonych skroniach tysiącami przygłuszonych dzwonków. Nie! To krążenie krwi... Mam dobry słuch. Zmęczona głowa chyli się nad stolikiem zasłanym stosem papierów.

Przelać myśli, co gwałtem cisną się do głowy, na papier. Może będzie lżej... Co było najpierw? Niedostatek. „Mamo, czy dasz mi dziś do szkoły „sitka" ze szmalcem?"... „Mamo, buciory mam podarte, mam mokre nogi, czy dasz mi zelówki?"

Miałam wtedy 11 lat. Piąty oddział szkoły powszechnej na Powiślu. Czytałam wtedy „Gwiazdę Przewodnią"... W lewej ręce trzymałam książkę, a prawą kręciłam korbą od wyżymaczki... „Skończ już raz z temi bibljami" — gromiła matka. Rzucałam książkę na łóżko i dalej kręciłam korbą, dopóki matka nie poszła na strych z bielizną.

Z polskiego i arytmetyki miałam piątki. Od początku szóstego oddziału dostałam dwie korepetycje. Irasia z drugiego oddziału i Fela z „czwartaka" — razem 20 złotych na miesiąc. „Buciory mam całe. Fartuch z falbankami i czerwony beret. A resztę na szmalec do chleba dla wszystkich". Czerwony beret... Byłam wtedy w ochronce. Chodziłam jeszcze w marynarskich spodniach, bo za nic nie chciałam być dziewczynką. Miałam zawsze żal do Bozi, że nie stworzył mnie chłopcem. Miałam wtedy 5 lat, jasne złote włosy i granatowe, długie, marynarskie spodnie. I marzyłam o czerwonym berecie. Matka moja nie chciała mi go kupić. Mówiła, że brudzi się szybko, że niepraktyczny. A ja tak bardzo chciałam mieć czerwony beret. Miała go jedna z koleżanek w ochronce. Pokryjomu wykradłam jej. Wyniosłam go pod most w kamienie i kiedy miałam wolną chwilę, kiedy mnie nikt nie pilnował pędziłam co tchu pod most, wchodziłam w olbrzymią kamienną rurę leżącą pod filarem, zakładałam czerwony beret na głowę i siedziałam długi czas i uśmiechałam się ze szczęścia. Marzyłam, że kiedyś, gdy będe duża kupię sobie taki beret i będę mogła w nim chodzić i nigdy go nie kryć przed nikim. Taki piękny, wymarzony, czerwony beret. I wtedy, za pierwsze zapracowane lekcjami z Felą i Irasią pieniądze kupiłam sobie taki beret. — Potem długo, długo potem, gdy już przyzwyczajono się w domu do mojej „samodzielności" wypływającej z moich wielkich 20 złotowych zarobków — beret czerwony, czarny fartuch z falbankami i całe trzewiki zbladły, ustąpiły miejsca innym marzeniom. — Zaczęłam składać od grosza do grosza by moim mniejszym „berbeciom" kupić na zimę swetry i rękawiczki. Ile to było uciechy! Pod stroją we

wszystkie kolory tęczy choinką przez lat kilka zawsze leżały paczki. Było ich kilka. Do każdej przypinałam z wielkiem namaszczeniem kartkę z imieniem tego, dla kogo przeznaczony był podarek. Podarki te zresztą różniły się tylko wymiarami. Wszystkie zawierały zawsze to samo. Swetry, rękawiczki, po kilka cukierków, czasem pończochy, a raz nawet Staś, Tadzik i Stef otrzymali po parze bucików. Nie znałam nigdy przyjemniejszych chwil, jak te, gdy koło choinki rozlegały się radosne głosy, przepełnione szczęściem. „Mamusiu, bronzowe buty, mamusiu, jakie śliczne".

Miałam już lat czternaście. Cenzurka z 7-miu oddziałów z wynikiem celującym, pełna głowa zamierzeń i marzeń o przyszłości w gimnazjum, poza mną dziesiątki przeczytanych powieści, idealne typy z „Gwiazdy Przewodniej"... To wszystko, z czem pragnęłam gorąco wyruszyć po wiedzę do gimnazjum.

W domu powstała kłótnia. „Gimnazjum dla dzieci dygnitarzy, nie dla robotników" tłumaczył ojciec. — „Niech idzie do fachu; nie mogę dla jednej oddać zdrowia i sił, gdy mam jeszcze pięcioro do wychowania. W głowie jej się przewróciło. Wstydzić mnie się później będzie." — Matka, widząc moje łzy, wzięła moją stronę. „Zobaczymy choć jeden rok. Jeśli będziesz miał rację, to zabierzemy ją spowrotem i oddamy do krawcowej. Przecież magistrat za nią zapłaci. Taka wątła, przy igle zdrowie straci. Zobaczymy choć przez jeden rok. Niech idzie. To młode, niech spróbuje".

Przyrzekłam na książki, zeszyty i ubranie zapracować. Za naukę zapłaci magistrat, a ja może bardziej, niż córki lekarzy i dygnitarzy pragnę się uczyć. Po długich sprzeczkach, targach i lamentach dopięłam swego. Zostałam przyjęta do klasy czwartej. Granatowy beret z czarnym jedwabnym pomponem, biała bluzka z marynarskim kołnierzem, granatowa plisowana spódniczka i szare przędzowe pończochy. Wspaniały to strój. Uroczysta mina, wielka rządza uczenia się i przeświadczenie, że podnoszę się z tłumu. Wchłonę w siebie wszystko, co będzie mi potrzebne by inaczej żyć, niż dotychczas. A gdy zacznę potem pracować, kupię duże mieszkanie: pokój z kuchnią i przedpokojem w ładnej dzielnicy, ulokuję się tam z całą moją rodziną, kupię dwa wygodne fotele, obijane ciemno-czerwonym pluszem, takie, jakie widziałam u państwa W., kupię matce szlafrok, miękkie pantofle, ojcu — takież pantofle i barchanowy, kolorowy garnitur (nie wiedziałam wówczas, że nosi to nazwę pyjamy), dzieciom dużo zabawek, dla wszystkich białego chleba i dużo masła... W pokoju będzie światło elektryczne z bibułkowym abażurem, pełno kwiatów na oknie, w zimie będzie dużo węgla w piwnicy, będziemy spali tylko po „dwójce" w jednym łóżku i na każdą niedzielę cała rodzina będzie miała po dużej porcji mięsa. Na lato będziemy wszyscy wyjeżdżali na wieś, do Sosenkowa.

Czwarta klasa. Od połowy września z pomocą przełożonej gimnazjum dostałam dwie korepetycje. 60 zł. miesięcznie. W domu nie było końca pochwałom i zachwytom. Aż tyle! Ojciec pracuje 10 godzin, a czasem i 12 na dobę i ma 3 razy tyle, co ja pracując zaledwie do 3 godzin dziennie. Taki dzieciak i tyle zarabia. Byłam dumna. Teraz już mogę uczyć się spokojnie, nikt już nie krzyczy, że leżę w szkole i bawię się w hrabiankę. Tak! teraz jest inaczej. Uczę się bardzo dużo.

Wytężyłam wszystkie siły, by dorównać lepszym uczenicom w klasie. Ile mnie to kosztowało! Algebra! — Niezrozumiałe dla mnie i pozbawione wszelkiego uroku łamigłówki. Ślęczałam nad książką pełną iksów i igreków, dodawałam a do b, dzieliłam c przez d, łamałam głowę nad nawiasami, formułkami, minusami i plusami; wartości liczb względnych, potęgowania — wszystko to razem wydawało mi się takie bezduszne, martwe, niepotrzebne. Ale nie chciałam od nikogo pomocy. Trudno mi było przyznać się do tego, że nie rozumiem czegoś, że nie mogę sobie poradzić. Najgorzej było zawsze z „pociągami". — Pociąg z A do B idzie tyle kilometrów, potem zwiększa szybkość o tyle kilometrów, spotyka się w D z drugim pociągiem, i t. d. Ilekroć miałam rozwiązać tego rodzaju zadanie przesiedziałam przy stoliku kilka godzin. Nie dlatego, bym musiała tak długo nad niem pracować... Zawsze przecież jakoś rozwiązywałam łamigłówkę — często nawet dostawałam za nie „celująco" — lecz dlatego tylko, że przy rozwiązywaniach zadań algebraicznych brała mnie nieprzezwyciężona chęć pisania wierszy. Cóż z tego, że pociąg przeszedł tyle czy więcej kilometrów i tak nic nikomu z tego nie przyjdzie, nikogo to nie ucieszy, ani zasmuci. Buntowałam się przeciwko pracy, jak mnie się wówczas zdawało, bezdusznej, niepotrzebnej. Idzie pociąg... dudni, dudni, pędzi po srebrnych szynach gdzieś w dal, przebija wreszcie horyzont, topi się w nim, niknie... Pozostawia za sobą kłęby czarnego dymu, który rozsnuwa się nad lasami, łąkami, strzechami chat... Dym zawadza o wysokie topole. Rozbija się o nie, opada. Topole, takie wysokie, piękne topole w Sosenkowie. Ogradzają sad wiśniowy... A z pod jednej topoli, stojącej tuż przed domem, od strony drogi rozpościera się rozległy widok na falujące zbożem pola. Ileż tam słońca! Ile przestrzeni! Morze zbóż, aż hen na horyzoncie z niebem się styka. Cisza wokoło, słychać brzęczące pszczoły i muszki. A gdzieś za wioską, za brzezinką dudni pociąg... „Pociąg" — słowo to elektryzowało mnie, przeszywało bieg wspomnień i tęsknot dziecinnych za wioską, przypominało zadania... I zabierałam się do pracy. — Lekcje na dzień następny przygotowywałam zawsze w nocy; od 10-ej do 1-ej lub 2-ej po północy na stoliku przy kuchni rozkładałam zeszyty i książki i przy lampce naftowej pisałam lub szeptałam zgarbiona, dokąd oczy nie zaczęły się kleić, powieki opadać, lub, co się często zdarzało, nie stłukłam sobie nosa o stół w drzemce.

W dzień, do 1-ej byłam w szkole, do 4-ej uczyłam Adasia, Irkę i Felunię, potem sprzątałam, gotowałam, prałam lub prasowałam z matką, gdyż biedaczka, jak tylko zapamiętać zdołam, zawsze była chora i trzeba jej było pomagać. Zresztą... W maleńkiem naszem mieszkaniu na „trzeciaku" pod strychem było zawsze gwarno, gdyż Staś, Kazia, Lutek, Janka, rozhałasowana piątka wypełniała krzykiem pokój, a nóżkami i rączynami wolne od sprzętów kawałki podłogi... Mieszkanko nasze 3 metry na 4 było tak wypełnione łóżkami, szafą, krzesłami i stołem, że maleństwa nie miały się gdzie bawić, najczęściej więc prowadziły kłótnie o każdy kawałek wolnego miejsca, o każde krzesło i miejsce pod stołem. Właściwie pod stołem był pokój

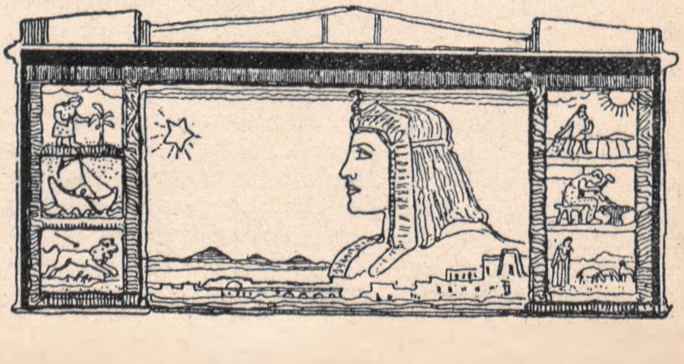
dziecinny. Tam odbywały się zabawy w sklep, w ochronkę, w szkołę... Pod łóżkami były wioski indyjskie, w szafie najwygodniejsze miejsce dla czarnoksiężnika... Zabawom tym nie było końca. Krzyków, śmiechu, hałasu nigdy nie brakło. Nie mogłam więc myśleć o uczeniu się w dzień. Próby takie często opłacałam łzami... W środku rozpoczętego zdania w wypracowaniu przerywałam, by iść po wodę, czy do sklepu. Pozostawiony atrament na stole przy książkach i zeszytach — to gotowa katastrofa. Nie umiałam więc uczyć się w dzień. Czekałam, aż dobroczynny sen uspokoił wszystkich i wtedy dopiero zabierałam się do pracy. Jakże byłam dumna, że jestem pensjonarką, że mam dobre stopnie, że kiedyś, kiedyś będę mieszkała w ładnym, dużym pokoju, że skończy się niedostatek, że matka moja nie będzie już prała, że dzieci będą miały się gdzieś bawić. Wydawało mi się rzeczą niemożliwą, abym z maturą w ręku nie znalazła posady. Miałam wrażenie, że już czekają na mnie od szeregu lat, na mnie jedną, bym wykształcona zasiadła do pracy... Do jakiej, o tem nie myślałam jeszcze. Byleby tylko skończyć szkołę, potem studja — a reszta sama się zrobi. Nigdy nie myślałam o tem, że wtedy, gdy ja już będę „skończonym człowiekiem" rodzeństwo moje będzie starsze, że będzie wtedy może potrzebowało tak jak ja miejsca do nauki, a nie zabawek pod stołem. Wydawało mi się, że wszystko zostanie w miejscu, tak jak jest w chwili obecnej, nikomu nie przybędzie lat, nikt nie podrośnie, wszystko zatrzyma się w rozwoju, tylko ja jedna pójdę naprzód, tylko ja jedna — bo na moją pomoc oczekują w domu, a na moją pracę czekają gdzieś w biurze, czy zakładzie.

Przyszedł kwiecień. W domu często brakło na chleb. Jadaliśmy już tylko dwa razy na dzień. Matka zapadła na zdrowiu. Nerwy, płuca, serce, częste bóle głowy, wreszcie z przemęczenia i przepracowania — częste bóle w stawach. Wywiązała się długa i ciężka choroba, której leczenie wymagało dłuższego pobytu w szpitalu. Straszna była rozpacz, gdy doktór nam ją zabrał do szpitala. Jakaś ciężka cisza zaległa mieszkanie, zaczaiła się w kątach pokoju, dusiła w gardle... Dzieciny przestały się bawić, płakały pod stołem, tęskniły, wzywały matki. — Do szkoły nie przestałam chodzić. Kazia do południa siedziała w domu, sprzątała i pilnowała młodszych; a ja od 4-ej, po powrocie z lekcyj gotowałam obiad, cerowałam, myłam dzieci, robiłam „przepierki". Zawisła nademną straszna groźba zabrania mnie ze szkoły. Ciotka tak radziła ojcu. Wracałam kiedyś do domu ze sklepu. Już o piętro niżej usłyszałam krzykliwy głos ciotki. Serce zaczęło mi gwałtownie bić. Przeczuwałam, że tam w domu ważą się moje losy. Przystanęłam pod drzwiami i... „Zabierz dziewuchę ze szkoły. Nie możesz sam tyrać. Matka już do szpitala przez nią poszła. Patrzycie w nią, jak w obrazek, a obrazek, jak dorośnie i nie będzie potrzebował waszej pomocy, to nie spojrzy w waszą stronę. Dziewczysko bym zabrała, nauczyła roboty, niechby się matka nie mordowała. Ona was oboje wpędzi do grobu. W szkole toto całe dnie boże, potem gania po mieście do wieczora, jak pies za zającami, wieczorem coś niebądź ślurnie, aby oczy wam tylko zamydlić, a matka się męczy. Słyszał kto? Sami nie mają co do gęby włożyć, a dziewusze w głowie przewracają gimnazjami. Ja mam też dzieci, ale każdego nauczę rzetelnej pracy, jak Bóg przykazał i do roboty. Niech uczy się od młodu na siebie pracować, a nie to fora ze dwora. Nie tak jak wy. Myślą, że sobie „dobrze zrobią, a nie wiedzą, że plotą bat na siebie..." — Nie mogłam dłużej stać i słuchać. Pchnęłam drzwi, aż huknęły o poręcz łóżka i stanęłam przed ojcem. — „Tatusiu! ciotka kłamie! Mówi tak przez zazdrość, bo dzieci jej uczyć się nie chcą. Nie chciej jej rady i opieki. Ja przysięgam ci, że na siebie zarobię. Każ wyjść natychmiast ciotce z tego domu! Przyszła buntować cię i kusić, bo czuje, że gdy matki mojej niema to wygra. Nie słuchaj jej, tatku. Błagam cię, nie rób tego, czem byś mamusi zrobił przykrość. Ja jakoś poradzę dokąd mamusia nie wróci..." Nie wiem, nie pamiętam już, co więcej mówiłam we łzach, co wykrzykiwałam, na co się zaklinałam. Ale... ale ciotka poszła ze swemi radami od nas nazawsze.

Pracowałam ile tylko siły moje znieść mogły. Często siedziałam do późnej nocy nad reperacją bielizny, pończoch, ubranek dziecinnych, raz w tygodniu nie sypiałam zupełnie, gdyż musiałam prać wspólnie z ojcem, by nie zebrać zawiele bielizny, ręce mi opadały, zaczęłam coraz częściej opuszczać lekcje, nie miałam czasu uczyć się wieczorami... I w końcu przyszła i na mnie kolej. Kiedy matka wróciła do nas, zastała mnie już chorą, z gorączką, bez sił. Doktór kazał mi natychmiast wyjechać na wieś. Nie mogłam. Przecież to niedługo koniec roku szkolnego. Muszę przetrwać. Muszę przejść do klasy piątej. Nie, nie — za żadną cenę nie mogę teraz wyjechać. Tylko jeszcze kilka tygodni... A fotele dla mamusi i ojca... A słoneczne, jasne, duże mieszkanie... A moje dyplomy... To wszystko przekreślić!.. Tyle miesięcy wielkich trudów, tyle łez, tyle cierpienia, tyle bezsennych nocy, tyle radosnych dni — wszystko to miałoby przejść bez śladu i nie wrócić! Jeśli nie dochodzę do końca, to nie przejdę do następnej klasy, magistrat za drugi rok nie zapłaci i wszystko się zmarnuje. O nie! — I znów powstały w domu kłótnie. Matka wzięła moją stronę, broniła mnie, czuła, że natychmiastowy wyjazd teraz położyłby kres moim dążeniom, że zwichnąłby moją przyszłość... Ojciec drżał o moje zdrowie... — „I bez wykształcenia żyć będzie, tyle ludzi żyje i daje sobie radę, to i ona żyć będzie. Zdrowie pierwsze, jak wszystko! Niech się już nie męczy. A jak ci dzieciak oczy zamknie, na zawsze, to co wtedy..." Lecz, jak zresztą zawsze, moje i matki błagania i łzy zwyciężyły.

(c. d. n.)

Czesława Kamińska.



LWOWSKI ZJAZD PRACOWNIKÓW KULTURY

REFLEKSJE NA POLU BITWY

Mam na myśli lwowski Zjazd pracowników kultury. W chwili gdy to piszę, bezpośrednie echa Zjazdu jeszcze nie ucichły, pisma i piśmidła endeckie i klerykalne oburzają się świętobliwie i patrjotycznie, a ulicami Lwowa przechodzi od czasu do czasu grupka studentów nacjonalistycznych lub „żółtych" robotników i oglądnąwszy się ostrożnie, wiwatuje, hańbuje, hałasuje.

Zjazd lwowski miał być pierwszą próbną mobilizacją sił kulturalnych, reprezentujących idee świata pracy, upominającego się o swoje miejsce w chwili, gdy do bram władzy zaczyna szturmować coraz gwałtowniej świat faszystowsko-klerykalny. Zgrupować się w tym momencie, stanąć ramię przy ramieniu, policzyć się i zapytać: czy jesteśmy gotowi? — oto zadanie najpilniejsze z pilnych. Nie wolno pomijać okazji, nie należy spóźniać się na bitwę.

Świat myśli w każdej swojej dziedzinie winien być produkcją czyli nadmiarem, udzielanym innym, aby ich zagrzać i zorjentować. Zwłaszcza sztuka jest takim nadmiarem, gdyż ponad życiem realnem tworzy życie drugie, które jest kompensatą, spełnieniem tego, co się nie zdarzyło, realizacją dążeń i marzeń. Czyż w momencie przełomowym, który przeżywamy, wolno sztuce, w myśl jakichś „klerkowskich" przywidzeń, porzuconych zresztą przez samego ich twórcę, Juljana Bendę, rezygnować z miejsca w życiu i przy warsztacie przyszłości? W takim momencie, jak obecny, lewicowa sztuka i myśl mają swoje obowiązki.

Sztuka, wszelka twórczość duchowa muszą zawrzeć sojusz z wielkiemi tendencjami społecznemi przebudowy, sojusz, polegający jednakowoż nie na podporządkowaniu się ale na równorzędności. Myśl i piękno nie mogą rezygnować ze swoich uprawnień, ze swoich form i poszukiwań, z całej swojej istoty. Mogą się sprzymierzać, ale nie powinny służyć. Realizują i uświadamiają społeczne dążenia chwili, tłumaczą je na swój język, wzbogacają je swojemi ideami, ale nie przyjmują rozkazów, nie zubożają się i nie zacieśniają na komendę, wychodzącą z poza ich obrębu. I właśnie w ten sposób może duch oddawać dążeniom wieku największe przysługi.

A teraz — kilka słów o Zjeździe lwowskim. W myśl zasady szczerości gotówem się raczej narazić na zarzut nadmiernego krytycyzmu, byle tylko nie popaść w niewolę entuzjastycznej frazeologji, zasłaniającej rzeczywistość.

Zjazd lwowski zawierał w swoim łonie cały szereg elementów, które działając planowo i harmonijnie, mogły były pozwolić odnieść pełny sukces. Przedewszystkiem element personalny, zwłaszcza na terenie literatury.

Sensacją było dla miasta równoczesnie pojawienie się tylu głośnych firm literackich. Pokazywano sobie i słuchano żarliwie powściągliwych, uporządkowanych, mających pełne wewnętrzne pokrycie słów Leona Kruczkowskiego, który sam jest wcieleniem ładu, opanowania i spokojnego dystansu wobec ludzi i wydarzeń. Oklaskiwano entuzjastycznie debiutanta na tym terenie, Emila Zegadłowicza, podziwiano aureolę jego siwej grzywy, małe żywe oczy, duży prałacki nos, zwinne kaznodziejskie ruchy rąk i lot skojarzeń, myśli i słów, pełen fantazji, trzeźwości i wyczucia momentu. Mały, czarny djabełek, wyjęty z pudełka, mongolski Mefisto w formacie kieszonkowym — Marjan Czuchnowski — grał mocno i uporczywie na nucie buntu, przekory, odwagi. Oklaskiwano Władysława Broniewskiego, recytującego doskonale swoje poezje, przyoblekającego pozdrowienia antyfaszystowskie w maskę niezłomnej decyzji. A wreszcie narówni z mówcą upijano się słowami Henryka Dembińskiego, proroka bez aureoli i korony cierniowej, spalającego się w potokach, nieznającej kompromisu ani granic wymowy.

Zjazd wszystkiemi swojemi manifestacjami — obradami, wieczorami autorskiemi, Akademją w Teatrze Wielkim, które cieszyły się olbrzymiem powodzeniem, zaważył na życiu zewnętrznem i wewnętrznem Lwowa i nietylko tego miasta jedynie. Zebraliśmy się po raz pierwszy w takim komplecie, stanęliśmy w szeregu i powiedzieliśmy sobie, że rzecz niezbędną należy prowadzić dalej. To nie wyklucza jednak refleksyj krytycznych w sprawie skuteczności drogi dotychczasowej i tej, która ma nas doprowadzić do celu.

Lwowski Zjazd był improwizacją i tak być musiało ze względu na jego ogólnopolski charakter, na odmienność fizycznych i duchowych okolic, z których przybyli uczestnicy. A nie brakło wysiłków od wewnątrz, aby wyzyskać ten brak przygotowania i zżycia się dla egoistycznych, partyjnych, taktycznych celów. Na Zjeździe jednostronnie dobrana publiczność swoją ilością przytłaczała zastęp właściwych uczestników. Podobna jednostronność publiczności zaznaczyła się na akademji — i ten fakt udzielił się chwytliwym i wrażliwym umysłom wielu mówców, nadających referatom i przemówieniom piętno politycznej-partyjnej agitacji, która wykraczała poza ramy kultury i sztuki i nie posługiwała się ich językiem.

Ludzie duchowo celom Zjazdu obcy, mimo że przebywali w gronie organizatorów, próbowali nadużyć Zjazdu dla porachunków partyjnych, dla podważenia sojuszników, nie zwracając lekkomyślnie uwagi na krótkotrwałość i szkodliwość tego rodzaju taktyki. Naj-

bardziej entuzjastyczni uczestnicy Zjazdu, ochłonąwszy z nastrojów masowych, zdali sobie z tego dokładnie sprawę i poczęli się zastanawiać nad zmianą metod i taktyki.

Zjazd stanowi zbyt wielką i ważną pozycję w organizowaniu się postępowej, lewicowej myśli i ruchu, aby nie skorzystać z bogatego materjału doświadczeń tak dodatnich jak ujemnych, zebranego we Lwowie. W selekcji metod i osób, która będzie musiała nieuchronnie nastąpić, należy przedewszystkiem położyć nacisk na oblicze kulturalne ruchu, na rozpiętość linji frontu antyfaszystowskiego i na ducha wolności, lojalności i szczerości, który powinien przewodzić całej tej wielkiej i doniosłej akcji.

Wł. J.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

ZJEDNOCZENIE LUDOWE U STERU FRANCJI

W czerwcu obejmie władzę we Francji rząd Frontu Ludowego, czyli raczej Zjednoczenia Ludowego. Taką nazwę przybrał blok stronnictw (rassemblement populaire), który zwyciężył w wyborach do Izby Deputowanych dnia 26 kwietnia i 3 maja. Blok ten tworzą trzy ugrupowania: socjaliści (S. F. I. O.), komuniści i radykałowie społeczni; należą do bloku także grupy drobniejsze, jak republikańsko - socjalistyczna, dysydenci komunistyczni. To zwycięstwo było i jest dotychczas najważniejszem wydarzeniem politycznem na forum międzynarodowem wiosną 1936 roku.

Obok klęski abisyńskiej stanowi ono punkt wyjścia dla wszelkich rozważań o najbliższej przyszłości Europy. Z Francji prawdziwej ojczyzny Wolności powiał wicher niosący za sobą siew przyszłości. Obecnie nie tylko sama Hiszpanja, słabo zespolona z ogólnem tempem życia Europy, ale i wielka republika francuska wchodzą na drogę przekształcenia ustroju społecznego w atmosferze prawa i wolności wbrew wszystkim oszczerstwom i zastraszającym opowiadaniom, które szerzy z dnia na dzień o Froncie Ludowym prasa hitlerowska i ogromna większość prasy polskiej (bez różnicy kierunków politycznych z wyjątkiem prasy socjalistycznej).

Cóż to jest za potwór ten francuski Front Ludowy, w którego imieniu z woli narodu francuskiego obejmie władzę lada dzień przywódca socjalistów p. Leon Blum? Prasa burżuazyjna francuska już pogodziła się z tą „okropnością", która czeka Francję, choć z nad Wisły wciąż płyną jeszcze nad Sekwanę ostrzeżenia przeciw temu potworowi Apokalipsy, który ma wprowadzić na świecie sowiety, czy komunę, czy może jeszcze nawet coś gorszego. Były premjer francuski, Daladier, który miał odwagę stawiać czoło reakcji francuskiej, a obecnie zdobył swój mandat bez pomocy sojuszników z lewicy, krótko określa sens ostatnich wyborów francuskich, mówiąc: Francja chce zostać krajem wolności, krajem Praw Człowieka i Obywatela. Do tego trzeba dodać jeszcze, że Francja chce tego, aby we wstrząśniętym świecie dokonać przebudowy swego ustroju społecznego w najlepszych warunkach, które stwarza wolność. Doświadczenia dokonane na świecie wskazują, że żadne zło wynikające z nadużycia wolności nie może być tak wielkie, tak deprawujące i niszczące, jak zło płynące z gwałtu i niewoli. Naród francuski w masie swej praktyczny i doświadczony przez ostatnie wybory dał dowód zrozumienia tej prawdy. Po krótkiej burzy, panice częściowo naturalnej, a w znacznej mierze sztucznej, nastąpiło uspokojenie. Złoto nie uciekło z Francji na widok Leona Bluma, nie ulotniło się ze strachu. Znikły natomiast ze szpalt gazet francuskiego obozu konserwatywno-centralnego długie opisy okropności dziejących się w Hiszpanji pod rządami Azany (obecnie już prezydenta) i pod kierunkiem przywódcy socjalistów Largo Caballero. Te opisy miały odstraszyć wyborców od rządów Frontu Ludowego. Wyborca nie przestraszył się. I oto od paru tygodni ustępujący rząd centrowolewicowy lojalnie przygotowuje przekazanie władzy w ręce Blumowi i towarzyszom dla wykonania programu minimum Frontu Ludowego. Przeciętny Francuz już przyzwyczaił się do myśli, że będzie miał rząd lewicowy, który pójdzie innemi, niż dotąd chodzono drogami do rozstrzygnięcia piekących zagadnień dnia. Nie będzie ratował równowagi budżetu przez obcinanie płac pracowniczych, nie będzie prowadził chaotycznej bezplanowej gospodarki, dogodnej dla pewnych koncernów przemysłowych i niektórych grup finansistów. W polityce zagranicznej przyszły rząd francuski będzie miał zadanie nad wyraz ciężkie, bo będzie musiał wyciągnąć z impasu międzynarodową organizację pokoju, t. j. Ligę Narodów, którą doprowadzono do skraju przepaści. Rzecz oczywista, że nowa Francja tak, jak i dawna, nie będzie wtrącać się do ustrojów politycznych innych państw i musi współżyć z państwami faszyzmu i hitleryzmu, ale stanowisko jej wobec tych ustrojów będzie jasne i wyraźne.

W ostatnich dniach maja angielscy mężowie stanu skąpi na jasne stawianie sprawy, ocenili już nowe położenie. Gdy w izbie lordów dziwnego autoramentu liberałowie i labouryści zaatakowali politykę francuską wobec Niemiec jako nie dość pokojową, przedstawiciel konserwatywnego rządu Jego Królewskiej Mości podsekr. st. lord Stanhope odpowiedział: dwie wielkie demokracje Europy Zachodniej Francja i Anglja mają wspólne zadania i cele w Europie. Rząd angielski może poniewczasie zdaje sobie sprawę, że tylko w łączności z Francją zagwarantować może pokój. Przychodzi mu to łatwiej w chwili, kiedy i we Francji dochodzą do władzy czynniki, które pomimo całej niechęci do wojny nie pójdą na antyangielskie porozumienie z Włochami. Ten sam refren, co u lorda Stanhope, przebija w mowie premjera Baldwin'a w izbie gmin dnia 21 maja, a jeszcze wyraźniej powtarza go minister spraw wewnętrznych sir John Simon w przemówieniu w Sheffield, mówiąc, że najgroźniejsze w chwili obecnej są w Europie zachodniej przeciwieństwa, które zarysowały się między mocarstwami demokracji i parlamentaryzmu, a mocarstwami totalnemi. Simon wzywał do zastanowienia się, na czem polegają silne i słabe strony mocarstw jednej i drugiej grupy.

Oczywiście, nikt w Anglji nie ma wątpliwości, który z tych systemów daje prawdziwą siłą i istotną potęgę, który nadaje wyrazowi państwo właściwą treść, czyniąc zeń wspólną a nad wyraz cenną własność wszystkich obywateli. Doświadczenie wielu wieków, a choćby zresztą historji czasów najnowszych jest pod tym względem wystarczająco wymowne. Oślepiające, chwilowe pozorne sukcesy i zwycięstwa, tryumfy przy których tłum jednolicie milczy, lub jednostajnie wznosi okrzyki na cześć tych, którzy nim rządzą — nie powinny nikogo wprowadzać w błąd.

Nawet wielki Napoleon, na wyspie św. Heleny napisał te pamiętne słowa będące nauką jego życia, o której nie można zapominać:

— Istnieją tylko dwie potęgi na świecie: duch i miecz. A jednak miecz bywa zawsze pokonany przez ducha".

***

W dwutygodniowych przeglądach zjawisk na forum międzynarodowem śledzić będziemy bacznie, jak w naszych czasach sprawdza się ta myśl.

C. D.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

DWIE MODLITWY

Wychodzący w Bazylei National-Zeitung donosi:

W pewnym zakładzie naukowym w Kolonji uczniowie odmawiają następujące modlitwy:

Przed jedzeniem: „Wodzu, nasz Wodzu, któryś został nam dany od Boga, ochraniaj nas aż do końca naszych dni. Wybawiłeś Niemcy z najsroższej nędzy i tobie zawdzięczamy nasz chleb powszedni. Bądź nam ku pomocy i nie opuszczaj nas nigdy, o Wodzu, światłości nasza i wiaro nasza".

Po jedzeniu: „Wodzu nasz, dziękujemy ci za ten posiłek, tobie, opiekunowi młodzieży i pocieszycielu starców. Bądź bezpieczny!"

Pikanterję tego curosium podnosi okoliczność, że to Gestapo (tajna policja państwowa) było zmuszone zdać sprawę z tego faktu w następstwie rewizji u kilku pastorów opozycyjnych, którzy zebrali teksty modlitw odmawianych przez młodzież szkolną i korzystali z nich do napiętnowania w kołach katolickich antychrześcijańskiego i świętokradzkiego charakteru czci oddawanej Hitlerowi.

Przypomina się tutaj podobne zjawisko, podane za rzymską Tribuną z 25 lipca 1927 w wydanej przed paru laty książce Wacława Rogowicza p. t. Reflektorem po czarnych koszulach — gdzie czytamy (str. 94, 95): „W szkołach włoskich Tunisu kazano dzieciom uczyć się napamięć modlitwy, w której są takie kwiatki:

„Wierzę we wszechmocnego Duce — stworzyciela czarnych koszul — i w Jezusa Chrystusa, jego jedynego opiekuna".

„Nasz Zbawca został poczęty przez zacną nauczycielkę i pracowitego kowala".

„Był dzielnym żołnierzem i miał wrogów. Zstąpił do Rzymu trzeciego dnia, odbudował państwo, ujął władzę" i t. d.

Nauka nie poszła w las.

PREMJE ZA WSTRZYMANIE PRODUKCJI

Amerykańska polityka agrarna zmierza do osiągnięcia poprawy na rynku rolniczym i do podniesienia cen płodów rolnych przez ograniczenie produkcji. Rząd wypłaca odszkodowania tym farmerom, którzy zostawiają pola niezasiane i puste obory. Na to premjowanie nieprodukcji wydano już za oceanem zgórą miljard dolarów.

Senator z Michigan, Vandenberg, postawił niedawno sekretarzowi rolnictwa, Wallace'owi, kilka osobliwych pytań:

„Kto otrzymał w ciągu dwóch lat 219.825 dolarów za niewyhodowanie 14.587 wieprzów? Komu wypłacono 668.000 dolarów za nieobsianie 7.000 akrów ziemi?"

Przeciwnicy Roosevelta nie atakują bynajmniej samej zasady wypłacania premji za... nieprodukowanie dóbr. Chodzi im jedynie o to, że premje te są rozdzielane niedość demokratycznie. Rozdano pono zbyt wiele premji, przekraczających 100.000 dolarów, a zbyt mało — poniżej 1.000 dolarów.

Niestety i senatorowie oburzają się tedy na faworyzowanie wielkiej własności, którą stać na nieobsianie rozległych obszarów i na niewyhodowanie większej ilości trzody chlewnej. Drobną natomiast własność i małego farmera nie stać, rzecz jasna, na nieprodukcję, zakrojoną na większą skalę. Skazani są przez to drobni farmerzy na małe premje....

PSIE JADŁO

Na niedawnych obradach Senatu waszyngtońskiego ujawniono wpływ kryzysu amerykańskiego na stopę życiową szerokich mas ludności.

Od 1929 do 1935 spożycie mięsa w Stanach Zjednoczonych zmniejszyło się o 500 miljonów kilogramów. Miljony natomiast obywateli amerykańskich żywi się jadłem, sporządzanem specjalnie dla... psów. To też niezwykłą konjunkturę przeżywa zaoceaniczna produkcja „Dog Food", czyli — jadła dla psów.

P. Becker, były prezes przemysłu „Dog Food", stwierdził, że 20% produkcji konsumowane jest przez ludzi. Obecna wytwórczość psiego jadła przekracza 50 miljonów kilogramów rocznie. Jedna z fabryk wypuściła ostatnio 100 miljonów puszek „Dog Food", sprzedawanych narówni z innemi artykułami spożywczemi w całym kraju.

Senator Dickinson oświadczył, że stopa życiowa miljonów obywateli U.S.A. oznacza degenerację.

SPRAWA WESEMANNA

Artur Henderson zainterpelował w Izbie Gmin ministra spraw zagranicznych, czy znane mu są szczegóły, ujawnione na bazylejskim procesie przeciw Hansowi Wesemannowi. Wesemann, działający z ramienia Gestapo, został skazany — jak wiadomo — na trzy lata więzienia za uprowadzenie przemocą na teren Niemiec dr. Jakoba, niemieckiego publicysty, działającego na emigracji.

W czasie procesu — wskazał Henderson — ujawniono, że działalność Wesemanna i jego zamiary dobrze były znane niemieckiemu ambasadorowi w Londynie.

Zdaniem Hendersona, rząd angielski powinien zwrócić uwagę ambasadzie niemieckiej, że Anglja nie może się zgodzić, aby placówka dyplomatyczna była narzędziem działalności tajnej policji obcego państwa.

Posłanka, Miss Wilkinson, zażądała bezwzględnej interwencji w sprawie tego nadużycia przywilejów dyplomatycznych, skoro na procesie w Bazyleji ujawniony został związek pomiędzy działalnością Wesemanna a niemiecką ambasadą w Londynie.

W odpowiedzi na interpelację Artura Hendersona, premjer Baldwin oświadczył, że szczegóły sprawy są mu jedynie znane z prasy, a ministerstwo spraw zagranicznych oczekuje relacji posła angielskiego w Bernie.

NOWY CEREMONJAŁ

Kościół założony przez dr. Dintera, który krzyż na ołtarzu zastąpił swastyką, odrzucił religję chrześcijańską i ogłosił powrót do „starożytnego rytuału germańskiego", udziela ślubów w nowym stylu.

Świadek takiego ceremonjału w ten sposób ją opisuje w paryskiem Vendredi:

Po wykonaniu hymnu wojowniczego, kazaniu i kilku modlitwach, dr. Dinter zapytał oblubieńca: „Czy chcesz, mój towarzyszu, pojąć tę kobietę za małżonkę według starożytnego obyczaju germańskiego?"

Oblubieniec wyprężył się, potem zasalutował po rzymsku i zawołał: „Ja, Heil Hitler!"

Wówczas dr. Dinter zwrócił się do Walkirji: „Czy chcesz zająć miejsce przy boku twego męża w trudnej walce dla ojczyzny niemieckiej?"

Skolei dziewica stanęła na baczność, podniosła prawe ramię:

„Ja, Heil Hitler!"

. . . .

Żyjemy widocznie w takich czasach, kiedy śmieszność już nie zabija.

Współpracownicy „Epoki":

Tadeusz Boy-Żeleński,
Tadeusz Breza,
Józef Czechowicz,
Prof. Stefan Czarnowski,
Stanisław Czosnowski,
Henryk Domiński,
Jan Duchnowski,
Stefan Grostern,
Dr. Włodzimierz Jampolski,
Stefan Jaracz,
Czesława Kamińska,
Prof. Tadeusz Kotarbiński,
Anna Kowalska,
Jerzy Kowalski,
Władysław Kowalski,
Halina Krahelska,
Irena Krzywicka,
Prof. Ludwik Krzywicki,
Paweł Hulka-Laskowski,
Jan Stanisław Lec,
Bolesław Leśmian,
Henryk Lukrec,
Wanda Melcer,
Marja Milkiewiczowa,
Kazimiera Muszałówna,
Dr. Jan Muszkowski,
Anna Nałkowska,
Zofja Nałkowska,
Ostap Ortwin,
Andrzej Pronaszko,
Wacław Rogowicz,
Wincenty Rzymowski,
Jerzy Stempowski,
Ewa Szelburg-Zarembina,
Józef Szpecht,
Alfred Tom,
Leon Wasilewski,
Józef Wasowski,
Emil Wierzbicki,
Emil Zegadłowicz,
Roman Zrębowicz.

Od wydawnictwa

W ciągu czerwca, lipca i sierpnia 1936 roku „Epoka" ukazywać się będzie raz na dwa tygodnie, od września zaś r. b.—co tydzień.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA za czerwiec, lipiec i sierpień 1936 r. — zł. 3.—. Od września r. b. — kwartalnie zł. 6.—. Numer poj. 60 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 2730 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.